POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 24—31-go grudnia 1942r.*** — **Rok IV. Nr. 52—53**

TO GWIAZDA NASZEGO ZBAWIENIA

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" ŁĄCZY SIĘ Z CZYTELNIKAMI, WSPÓŁPRACOWNIKAMI, PRZYJACIÓŁMI, GDZIEKOLWIEK SĄ, W SERDECZNEJ WSPÓLNOCIE, W JEDNYM, NAJGORĘTSZYM ŻYCZENIU: OBY ZA ROK W WOLNEJ POLSCE

Święta Bożego Narodzenia to właściwie wilia. Nie twarda łacińska wigilia, ale miękka słowiańska wilia. Ona jest istotą świąt Bożego Narodzenia. Jest to chwila oczekiwania — chwila nadziei, a chwile pragnień i nadziei są zawsze piękniejsze od ich spełnienia, albowiem spodziewamy się wiele, a spełnia nam się mało.

Kiedy Chrystus miał przyjść na świat — miało się "pod koniec starożytnemu światu." Bogi i ludzie szaleli. Wyczerpały się zasoby wiary w cokolwiek i powstawało pragnienie nowego świata. Ludzkość oczekiwała nowych prawd, "dobrej nowiny." Czekał zwłaszcza człowiek niewolny, uciśniony, w dręczącej rozpaczy, czy może się skończyć jego niewolą, czekał tak długo, że stracił nadzieję. Aż nagle spojrzał w niebo i zawołał: "Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie," a chór mędrców odpowiedział: "To gwiazda Twego zbawienia."

Zeszło z nieba dla ludzi zbawienie, kiedy w stajni Betlejemskiej rodził się Bóg-Człowiek. Z tą chwilą wszyscy stali się ludźmi. Przynosił on z sobą tę "dobrą nowinę," że każdy ma boską duszę w sobie, że ludzie są równi, że niewolnik jest człowiekiem — całą ludzkość podniósł bliżej nieba.

Od blisko dwóch tysięcy lat w noc wigilijną ten dreszcz oczekiwania przenika świat chrześcijański. W katolickiej Polsce ludzie wychodzą z domów, patrzą w niebo i szukają gwiazdy betlejemskiej, "bo im ta gwiazda świeci zbawieniem, bo im ogłasza cud cudów."

Ale nadzieje nie spełniają się rychło. Rodzi się więc Chrystus po raz tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi, aby przypomnieć słowa: "Pokój ludziom dobrej woli." Słowa zapomniane, słowa zgłuszone hukiem bomb spadających na miasta, trzaskiem rozrywanych torpedami okrętów, rykiem armat i jękiem mordowanej ludzkości.

Głuche są na te słowa uszy milionów zbrodniarzy, którzy wyruszyli na podbój świata, aby go zamienić w więzienie, z ludzi porobić swoich niewolników, a opornych wytępić.

A na szlaku tego zbrodniczego pochodu pierwszy zdeptany jest nasz Kraj. Przeszły już trzy lata, kiedy nas zbrodnia napastników rozmiotła po świecie, a "Kraj zmieniła w gruzów stos."

Z tym większą potrzebą nadziei wychodzimy z domów naszych przygodnych, z namiotów żołnierskich Afryki i Azji, stajemy na gruzach naszych dawnych domów i patrzymy w niebo, kiedyż ta gwiazda zaświeci nam zbawieniem z niewoli. Kiedy nam wróci wolność? Dlaczego dane było tak krótkie życie naszej niepodległości? Dlaczego przeżywamy upadek tak głęboki, tak straszny? Dlaczego jesteśmy rozproszeni po wszystkich częściach świata, dlaczego od trzech lat płacimy życiem, zdrowiem, niewolą naszych najlepszych?

A kiedy od tych pytań serce zaczyna z bólu zamierać, a rozum wątpić — wtedy niezłomny duch polskiego męstwa każe nam spojrzeć w przeszłość. Kiedyż to mieliśmy jasne chwile wigilijne i ile ich było?

Piastowie, skromni książęta słowiańscy, wyrąbywali sobie rok po roku Polskę w nieprzerwanej walce z tym samym wrogiem, który od tysiąca lat do dziś dnia nas wytępić pragnie. A od ostatnich Jagiellonów, za królów elekcyjnych rosło niebezpieczeństwo wschodnie i trwało do końca Rzeczypospolitej i po jej końcu. Na dodatek w ciągu wieków nie było ani dnia, ani godziny spokoju od granicy tureckiej, wołoskiej, szwedzkiej.

W którym że roku wilie nasze były spokojne — a przetrwaliśmy.

A ta najpiękniejsza polska wilia w Częstochowie, podczas szwedzkiego oblężenia czy nie daje ona tej pewności, że przetrwamy wszystko?

Bez tej pewności, bez wiary w tę pewność — nie moglibyśmy tak cierpieć i tak umierać.

Z tą to wiarą płyną nasi żołnierze po morzach lodowatych i morzach ciepłych, lecą w powietrzu na wysokościach, na których brak powietrza, wdychają żar i piasek pustyń afrykańskich, a motory ich maszyn w wodzie, ponad wodą, w powietrzu, na ziemi grają im pieśń z 63 roku: "Wzgardźmy życiem tym marnie pędzonym, nam pioruny niech grają i gromy."

Ale kiedy krwawa nasza ofiara się spełni i ze wszystkich stron świata spływać będą do Polski żołnierze i męczennicy, czy będziemy umieli żyć? Czy też każde pokolenie musi wołać do Boga: "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie"? I kiedy Bóg wolność nam przywrócić raczy, czy będziemy mieli prawo modlić się — "Ojczyznę wolną racz zachować Panie"?

Czy będziemy umieli wolność tę zachować? Obiecujemy sobie Polskę lepszą, a czy my będziemy lepsi — gdyż bez tego i Polski lepszej być nie może.

Czy ciągle ma być Polska walcząca i ciągle cierpiąca?

Jaką damy sobie samym na to odpowiedź?

Vigilia — oznacza czuwanie. Chwile nasze przed nowym narodzeniem Polski są wigilią — nieustannym czuwaniem.

Czuwa żołnierz — a jego męstwo budzi podziw świata.

Czuwa Kraj — a jego cierpieniom współczuje cały świat.

Ale musi czuwać i ten, co nie jest ani żołnierzem, ani nie jest w Kraju. Czuwać nad tym, aby słowem lub czynem przyczyniał się do powstania Polski.

Gdy przyjdziemy do Polski będziemy musieli zdawać sprawozdanie ze słów naszych i czynów i powiedzieć jak służyliśmy Ojczyźnie. Niekoniecznie przed jakimiś trybunałami — wystarczy, gdy trzeba będzie spotkać się z przyjaciółmi, z krewnymi i na ich pytania odpowiedzieć.

Jesteśmy już czwarty rok na wygnaniu. O nic tak Boga nie prosimy jak o powrót do wolnej Polski.

Musimy być jednak na ten powrót przygotowani. Musimy przemyśleć naszą przeszłość i postawić sobie przed oczyma obraz przyszłych naszych obowiązków w Polsce. Obowiązków — nie praw.

Inaczej powrót może nas zastać nieprzygotowanych.

Czuwać więc trzeba, albowiem ten czas, który teraz spędzamy jest naszą wigilią przed dniem narodzenia Polski.

STANISŁAW SZURLEJ

linoryt Adama Kossowskiego



Wigilia 1940 w Rosji

Od tygodnia Tereska i Wiesio są w okropnym podnieceniu— zbliża się Wigilia! Gdyby ich ktoś zapytał, co to jest Wigilia, nie mogłyby na to odpowiedzieć, bo mają po niecałe trzy lata a są już rok na zesłaniu, Wigilii zaś w 1939— nie było. Wiedzą tylko, że to coś bardzo pięknego i że dzieci są wtedy bardzo szczęśliwe. Poza tym wyobrażają sobie, że ich biedne wygnańcze życie będzie właśnie w tym dniu rozjaśnione jakimś cudem. Bez przerwy zanudzają swe matki pytaniami.

Straszne są te pytania dla matek, którym serce się kraje, bo wiedzą, że nadchodząca Wigilia będzie dniem najsmutniejszym ze smutnych. Gdyby nawet przynieść choinkę na plecach z lasu, to czym ją przybrać, jeśli nawet kolorowej bibułki nie ma? Gdzie ją postawić w brudnym, ciemnym, przeludnionym baraku, w którym w dodatku piec się zepsuł i woda zamarza w wiadrze? Co położyć pod choinkę, gdy nie ma pieniędzy nawet na chleb?

Wszystkie te smutne myśli nie mają jednak dostępu do Tereski, która wierzy, że cud będzie i czeka pełna ufności. Mimo swoich trzech lat ma poważne doświadczenia życiowe i wie, że jeżeli się bardzo wierzy, to jakoś się najniemożliwsze nawet rzeczy—spełniają.

—" Mamusiu dziś jest w stołówce kasza jaglana z cukrem—krzyczy na przykład pewnego dnia podniecona niezwykłym zdarzeniem — kup mi, przecież tylko chlebek czarny dzisiaj jadłam ".

—" Jakże ci kupić kaszę Teresko — odpowiada smutno matka—kiedy nie mam na chleb. Przecież jesteś mądra dziewczynka i zawsze wszystko rozumiesz ".

Tereska rzeczywiście rozumie i siada smutno z pustym brzuszkiem na progu baraku i patrzy jak ludzie wracają ze stołówki z dymiącymi miseczkami. W głębi swego serduszka nie wierzy, że może ją spotkać taka krzywda, iż nie zje słodkiej kaszy, której prawie nigdy nie ma w stołówce obozu. Czeka więc pełna naprężenia na Opatrzność, która dotąd nigdy jej nie zawiodła. I cud się staje, bo Tereska nagle się zrywa i wpada do matki:

—" Mamusiu, mamusiu Pani Elżunia idzie i niesie w ręku miseczkę! " — Pani Elżunia jest takim aniołem stróżem, który zawsze jakoś w ostatniej chwili pomaga. Jest zapewne narzędziem Pana Boga, który nie opuszcza głodnych dzieci. Więc jakże Tereska nie ma wierzyć, że cud się stanie i że Wigilia będzie.

Parę dni przed świętami rozchodzi się fantastyczna plotka po obozie, że państwo Tomaszewscy urządzają wigilię dla dzieci, które są same z matkami. Plotka jest tak fantastyczna, że nikt ze starszych w nią nie wierzy. Wierzą tylko dzieci, dla których nie ma nic niemożliwego na świecie. Starsi zaobserwowali tylko, że znikły dwie najlepsze suknie pani Tomaszewskiej i jej córki Zosi i że przez cały dzień do baraku, w którym Tomaszewscy mieszkają, przychodzą kołchoźnicy z jakimiś tajemniczymi zawiniątkami.

Wreszcie nadszedł dzień wigilijny. Zaczął się, jak wszystkie inne dnie gongiem wyrywającym wszystkich ze snu do pracy w lesie. Jak co dzień trzeba było w ciemnościach ubierać się, by potem z łopatą w ręku torować sobie drogę przez zasypane śniegiem drzwi do zamarzniętej studni.

Tego rana matka ubierając się po omacku, unikała widoku Tereski. Nie chciała, by Tereska widziała łzy w jej oczach.

Tymczasem Tereska już nie śpi, ale udaje sen, ma dobre serduszko i wie, że smutnym ludziom nie trzeba przeszkadzać. Zresztą nie chce jej się nosa z pod szmat wystawiać, bo jest tak zimno, że nawet wewnętrzne ściany baraku pokryte są lodem. Wreszcie nie wytrzymuje:

—" Dziś Wigilia mamusiu "— mówi nieśmiało, bo wie, że nie powinna o tym mówić.

—" Tak córeczko, ale zdaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś o tym zapomniała. Poczekasz do przyszłego roku—na przyszły rok będziemy może już razem z tatusiem i sprawimy cudowną Wigilię " — mówi matka, bo chce Tereskę pocieszyć.

Tereska kiwa głową z uprzejmości, ale myśli sobie swoje i wcale nie jest smutna. W ogóle nie wie, co to jest Wigilia, wie tylko, że to jest jakiś cud a cud wszędzie może ją dosięgnąć. Do cudu zaś niekoniecznie potrzeba zaraz Tatusia. W ogóle wie swoje, i to także, że starsi nie umieją po prostu myśleć, są smutni, a najważniejsze, nie umieją czekać.

Tego dnia brygada kobieca złożona z samych samotnych kobiet szła w milczeniu zwykłe swoje siedem kilometrów do miejsca pracy. Tak jak codzień zawiłe ścieżki poprzez dziką, poplątaną puszczę i zaspy śnieżne dłużyły się w nieskończoność. Tylko zwykle dużo było tematu do rozmów, przeważnie wspomnienia. Dziś jednak wszystkie milczały. Tylko właśnie dziś zapach sosen i jodeł wydawał się uroczysty, jakby kadzidlany. Mimo że sosny tamtejsze niczym nie przypominają naszych, przez swój głęboki leśny zapach stawały się duchem bliższe, przypominały dom.

Bez wytchnienia pracowała brygada kobieca do zmroku, byle nie myśleć, byle zmęczyć się do upadłego. Nieunikniony zmierzch jednak zapadał i nieuchronnie zbliżała się godzina Wigilii, godzina najżałośniejszych wspomnień na wygnaniu.

A jednak cud się stał. Wigilia u Tomaszewskich odbyła się, choć z wielkimi przeszkodami. Najpierw w baraku po południu zmarła samotna staruszka, która bardzo na śmierć czekała, a nie miała nikogo w obozie, ani w Rosji. Umarła przed wieczorem, uśmiechnięta, wdzięczna, że ją Pan Bóg wybawia od strasznej, bo beznadziejnej samotności starych ludzi i od jeszcze gorszego: od samotności wigilijnego wieczoru.

Leżała więc teraz szczęśliwa na dużej sali baraku oświetlonego mizernie sznurkami tkwiącymi w pudełkach z naftą. Przykryta jedynym prześcieradłem, tworzyła w ciemnościach rażącą oczy, jasną plamę. Dzieci przez cały dzień pozostawione sobie, siłą faktu asystowały tej śmierci, kręciły się po izbie z szeroko otwartymi oczyma, niespokojne, przygnębione, niepamiętne już uroczystego dnia. Nawet Tereska, niepoprawna optymistka, siedziała skulona w kąciku.

Na stojących rzędem pryczach drewnianych, przykrytych nieprawdopodobnymi szmatami, leżały lub siedziały tonące w mroku postacie w przedziwnych strojach. W samym środku grupy ludzkiej można było zauważyć panią w ongiś błękitnym jedwabnym szlafroku z trenem, w zarzuconej na głowę, podartej flanelowej chustce, z nogami owiniętymi w strzępy worków, przyodzianymi w słomiane kapcie. Modliła się gorąco.

Ze wszystkich stron dużej ciemnej sali słychać było westchnienia wyrywające się mimo woli. Zza okien, wycie lasu kołyszącego się wściekle w zrywającej się grudniowej zawierusze syberyjskiej pogłębiało smutek opuszczenia.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich zasypany śniegiem Tomaszewski. Jednym spojrzeniem objął salę, na sekundę wzrok zatrzymał na leżącym cicho trupie, i jakby nic się nie stało, krzyknął:

—" Wiesiu! Teresko! Zosiu! Basiu!—Jest Wigilia czy nie ma Wigilii? Jak długo mamy na was czekać? "

Głos odbił się o przeciwległą ścianę, przeskoczył na drugą, i zawisł nad główkami dzieci. Świat uległ nagłemu przeobrażeniu. Wszystko zapadło się w nicość.

—" Mamusiu mamusiu, prędko, chodźmy! Mamusiu słyszysz? Wigilia! A widzisz? Prędko, prędko! "

Ciężko było przedrzeć się w śnieżycę tak gęstą, że zasłaniającą jakby gęstym welonem parę metrów drogi do baraku Tomaszewskich. Stanęliśmy wraz z dziećmi olśnieni w drzwiach nie wierząc własnym oczom. Izba Tomaszewskich oświetlona była prawie jasno licznymi puszkami z naftą. Sznurki kopciły jak zawsze, lecz nie było tego zwykłego smutnego mroku, który panował we wszystkich barakach.

Na środku izby, zbudowany misternie z walizek i desek stał stół, przykryty dwoma ręcznikami. Na środku, na prawdziwym talerzu leżał malusieńki opłatek, który dziwnymi drogami tutaj przywędrował. Ktoś nieznany komuś nieznanemu, do jakiegoś obozu przysłał opłatki. Szczęśliwy właściciel zaraz pomyślał o swych współtowarzyszach w innych obozach i na los szczęścia rozsyłał kawałki opłatka, wielkości naparstka, pod cudem uzyskane adresy.

Cała izba tonęła w mgle pary, która wdzierała się przez nieszczelne ściany i drzwi do przegrzanego pokoju. W kącie pokoju stała choinka przybrana ozdobami z gazety rosyjskiej z trudem zdobytej. Ozdoby pomalowano czerwoną i niebieską kredką. Cała choinka była obsypana watą wyprutą z fufajek, niezbyt czystą, lecz olśnione oczy nie widziały brudu. Zamiast anielskich włosów hojna pani Tomaszewska poświęciła ostatnie dwie szpulki białego jedwabiu, którymi obsypała drzewko. Na samym szczycie choinki Matka Boska Ostrobramska patrzyła rzewnie na dzieci, stojące z otwartymi buziami.

Tereska nie mogła wydobyć głosu ze wzruszenia.

—" Mamusiu czy to aniołek przyniósł tę choinkę? Jaka piękna! A może tatuś nam ją przysłał? "

Tereska jest skłonna do fantazji, podczas gdy jej przyjaciel Wiesio, syn stolarza, swym realnym punktem widzenia prostuje zbyt zawiłe ścieżki myślowe swej przyjaciółki.

—" Durna—mruczy z pogardą —aniołek z Polski przynosi choinkę, a ona zaraz o swym tatusiu! . . ."

Niebawem zaczęła się orgia potraw. Najprawdziwszy czerwony barszcz, bez tłuszczu oczywiście, ale jakże cudowny! Pierogi z czarnej mąki z kapustą, twarde jak kamień, lecz lepsze od homara w majonezie (po cztery dla dzieci, po trzy dla dorosłych), w końcu deser nad deserami: na kawałkach gazety trochę miałkiego cukru!

Po uczcie zaczęło się śpiewanie kolęd! Tereska i Wiesio odzwyczajeni od jedzenia, ociężali ciepłem i ilością potraw, objęci wpół, niemal usypiają słuchając śpiewu. Pewno zdaje się im, że są w raju, w którym Pan Bóg sam, własnoręcznie, to wszystko dla nich przygotował.

Piosenka szła za piosenką. Trochę łez . . . trochę wspomnień . . . wiele gorącej wiary na przyszłość. Nie ma już samotności, jest jedna wspólna myśl i tyle dobrych tęsknych życzeń płynie do nas z dalekiego świata.

" Pod Krakowem czarna rola
ja jej orał nie będę "

Śpiewa pięknym basem Tomaszewski—

" Wsiądę sobie na swego konisia
i na wojnę pojadę."

Panie podoficerze Tomaszewski, wiele miesięcy potem wsiadł pan na konia i pojechał pan na wojnę, zostawiając swą ukochaną rodzinę na łaskę losu. Nie wiem gdzie pana koń zawiódł i gdzie pana rodzina jest dzisiaj, ale jeśli jest pan w Rosji, ma pan smutną Wigilię, bo napewno zabrakło panu już dawno sukien na zamianę na czarną mąkę i cukier dla obcych dzieci. A może z kolei znalazł się ktoś kto zdjął ze siebie koszulę, by pańskim dzieciom sprawić święta?

Dziś Tereska zasiądzie do prawdziwej Wigilii u boku swego ojca. Objechała pół świata, bez zmęczenia, bez zdziwienia. Kiedy po długich miesiącach jazdy przybiła do brzegów Wielkiej Brytanii zapytała tylko:

—" Już tak prędko? "

Bo Tereska nauczyła się w swym krótkim, twardym życiu cierpliwości. Nie jest zdziwiona cudem odzyskania swego ojca, bo uważała to zawsze za pewnik, a cud jest dla niej chlebem codziennym, a wiara najsilniejszą taktyką wojenną przeciw wszystkiemu co boli, gryzie, co smutne i ciemne.

Tak jak Tereska przez wszystkie lata wygnania wlepiała oczy pełne oczekiwania w pierwszą gwiazdę na niebie, dziś na tej gwieździe spotkają się miliony oczu małych i dużych. Na niskim nieboskłonie, ciężkim od olbrzymich gwiazd północy, zawisną oczy ciężkie tęsknotą i zamglone samotnością. Wszędzie po barakach i lepiankach, po izbach chat kołchoznych, po całej rozległej Rosji, drobne maleńkie ciałka, szukając ciepła, przytulą się nocą do swych matek i będą śnić o Wigilii, która nieomylnie nadejść musi.

OLGA LISIEWICZ

Wigilia na internowaniu

Dawno zaczęła się mroźna, północna zima. Śnieg grubą warstwą okrył ziemię, olbrzymie lasy i małe, drewniane domki ludzkich osiedli. Zrobiło się wprawdzie jaśniej, ale jeszcze monotonniej, jeszcze smutniej, niż jesienią. Ze smutkiem przyszła nowa fala tęsknoty. Za gardło chwyciła tęsknica poprzedniego pokolenia, ludzi z Piątej Syberyjskiej i Murmańczyków. Żywo stanęły przed oczyma tamte ośnieżone postacie, zjawiła się Baśka, biała niedźwiedzica Małaczewskiego. Chyba nigdzie tęsknota nie jest tak wielka, tak bolesna, tak nieodparta, jak na północy wśród rozległych śniegów i nieprzebytych przestrzeni.

Nadeszła druga Wigilia z daleka od swoich.

Usiedliśmy przy długim, skromnie zastawionym stole. Było nas zaledwie kilkunastu, rzuconych zawieruchą wojenną aż tu, pod północne koło podbiegunowe. Wszystkie zwyczaje wigilijne musiały być jak najściślej zachowane. Nie zabrakło więc siana pod białym obrusem, na spóźnionego wędrowca czekało puste nakrycie, nawet potrawy były tradycyjne, choć w tym wypadku dawał się we znaki brak polskiej gosposi.

Nasze miejscowe gospodynie bardzo opornie ustosunkowały się do śmiałych poczynań kulinarnych Prezesa i Niedźwiadka. Z niedowierzaniem kręciły głowami nad "zupą z buraków" i "uszkami", a już zupełnie nie mogły nabrać przekonania do "szczupaka po żydowsku." Zdziwienie wywoływały chirurgiczne operacje zdejmowania skóry, przygotowanie farszu również zostało przyjęte co najmniej niechętnie, a ogólna ocena naszych usiłowań była taka:

—Po co się właściwie męczyć nad spreparowaniem tej nadziewanej ryby, kiedy i tak jeść jej nie można. Szczupak jest rybą nieczystą, ponieważ się żywi innymi rybami, to też po jego zjedzeniu łatwo zachorować.

Druga gosposia dodała:

—A zresztą po co tyle z tą rybą zachodu? Czyż nie lepiej zwyczajnie ugotować, niż patroszyć, nadziewać, układać na półmisku, przykładać nawet z powrotem odciętą głowę?!

Na takie uwagi nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi. Kto zresztą kiedy kobietę przegadał, szczególnie w jej rodzinnym języku, szczycącym się największą ilością przypadków z pośród wszystkich języków europejskich, mianowicie 15-tu (słownie piętnastu!). Aha! Zapomniałem o dwóch jeszcze, wychodzących wprawdzie z użycia, ale jeszcze w mowie spotykanych. Biedny szczupak leżał więc smutnie na półmisku z okiem zamglonym i jodłową gałązką w gębie, czekając na okazję do poprawienia swej reputacji. Czy tylko aby bojaźliwe, a niewierne istoty odważą się skosztować nieznanej potrawy?

Na Gwiazdkę każdy dostał całe mnóstwo podarków od swych znajomych. Gospodarze nasi pragnęli, aby każdy czuł się w ich kraju jak najlepiej, aby zapomniał o swej tęsknocie do dalekiej Polski. Upominki złożone pod choinką były różne. Książki, pamiątkowe drobiazgi, kalendarzyki, bielizna. Pewien fabrykant przysłał cały transport ciepłych koszul, swetrów, szalików, koszul i spodni narciarskich, organizacja kobiet miejscowych ofiarowała każdemu parę grubych narciarskich skarpet, tkanych wieczorami na drutach.

Wzruszający dowód przyjaźni dały dwie panienki z pobliskiego miasta, przysyłając całą wspaniałą szynkę z renifera (bez mięsnych kuponów!). Było z czego robić bigos na świąteczny obiad. Egzotyczny renifer okazał się doskonałą podporą polskiej potrawy.

W czasie wieczerzy wigilijnej zdarzył się wypadek zupełnie nieoczekiwany. Właśnie spożywaliśmy wyżej wymienionego szczupaka, który nawiasem mówiąc okazał się doskonały, gdy posłyszeliśmy czyjeś kroki za drzwiami. Po chwili rozległo się nieśmiałe pukanie. Na nasze zaproszenie drzwi się otworzyły i do izby wszedł stary miejscowy kowal. Wracał prosto z pracy. Miał niewymyte ręce i brudne, usmolone policzki. Z zakłopotaniem w głosie powiedział: "Dobrych Świąt," a gdy posadziliśmy go na wolnym krześle, zakłopotanie jeszcze wzrosło. Dopiero po zorientowaniu się, że musi pozostać z nami, opanował wzruszenie i zaczął usprawiedliwiać swe przybycie:

— Przyszedłem tutaj do was, chłopcy, — mówił — ponieważ czułem, że muszę złożyć wam życzenia świąteczne nie tylko jako naszym gościom, ale jako synom wielkiego bohaterskiego narodu. Napisałem dla was na pamiątkę powinszowanie.

To mówiąc wyciągnął z kieszeni zwiniętą w rulon kartkę papieru, na której czerniły się linijki pisma skreślonego niewprawną, zgrubiałą od pracy ręką:

Wesołych Świąt
i szczęścia na rok 1941!
Tego życzę Wam wszystkim polskim emigrantom,
dzielnym żołnierzom—rycerzom.
*Na pamiątkę Kalevali.**
Układając to powinszowanie
Swoje życzenia poświęcam
Wam, synowie Piłsudskiego,
Rycerze ojczystej ziemi,
Lotnicy pędem zbratani
W najwyższym podniebnym locie.
Rej z Nagłowic, Kochanowski,
Krasiński oraz Sienkiewicz—
Te imiona zapisały
Wielką księgę polskiej chwały.
Ponad Polską teraz chmury,
Rzuca smutku cień żałoba;
Lecz perlistych łez strumienie
W szczere perły łez zamieni.
Wtedy z ojców, matek płaczu
Wzejdzie zieleń na mogile,
Gdy Szopena pieśń zadzwoni
Odpowiedzą świątyń dzwony.
Już minęło smutków tyle!
Biegnie k'niebu dziękczynienie.
Jeszcze przyjdzie dzień radości,
Polsce życie znów powróci.
Słońce blaskiem swej jutrzenki
Będzie zdobić lasy, góry
I krwią pola przesiąknięte.

Dedykowane walczącym za wolność Polski.

Napisał na pamiątkę stary kowal wioskowy X. /tu następuje podpis, który musi pozostać tajemnicą./—

W.Y. na Wigilię Bożego Narodzenia, 24.XII.1940.

Zdumieliśmy się. Kto się spodziewał, że w tym wiejskim kowalu Polska ma takiego przyjaciela! I skąd taka nieprzeciętna erudycja w sprawach polskich, a szczególnie polskiej literatury? Dowiedzieliśmy się, że kowal jest samoukiem. Polską się interesował z powodu podobieństwa losów w ostatnich czasach i z powodu zbieżności interesów obu krajów, leżących na pograniczu Wschodu i Zachodu. Wreszcie uderzyły go nieprzeciętnie duże sukcesy lotników i marynarzy polskich i wreszcie nieugiętość armii, odradzającej się wciąż, jak Feniks z popiołów. Z uznaniem wyrażał się o nieugiętej woli walki gen. Sikorskiego, przeciwstawiając temu niezwykłemu "uporowi" oportunizm Pétain'a i quislingów.

Od tego momentu kowal stał się sensacją Wigilii i najmilszym naszym gościem, mimo brudnych rąk i usmolonych policzków. Policzków, na które teraz padały łzy szczęścia z oczu, widzących naszą niekłamaną radość.

Gdy Boże Narodzenie minęło kowal pozostał naszym przyjacielem. Odwiedzaliśmy jego dom i kuźnię, aby podzielić się troskami i radościami, pomówić o sytuacji wojennej. Wreszcie przyszła inwazja niemiecka i trzeba było się rozstać.

Co teraz dzieje się z dalekim serdecznym przyjacielem Polski? Czy dożyje czasu, gdy "przyjdzie dzień radości"? I czy dzień ten będzie również dniem radości dla jego północnej ojczyzny?

* "Kalevala" — narodowy epos fiński.

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

Geniusz wojskowy

II.—Strategia i taktyka w ciągu dziejów★

Hannibala należy wysoko cenić zarówno jako stratega jak i taktyka. Jego zwycięstwo pod Cannae stało się wzorem i symbolem dla największego wojennego narodu czasów współczesnych. Posiadał on też prawdopodobnie w wysokim stopniu kunszt szkolenia armii, gdyż Kartagińczycy nie byli urodzonymi żołnierzami. Zdradził go i zniszczył w końcu jego własny rząd, jednak trudno nam na odległość stwierdzić ile winy ponosi sam Hannibal. Prowadził niepokonany wojnę przez wiele lat przeciw przeważającym siłom nieprzyjacielskim. Choć więc w końcu przegrał, należy mu się poczesne miejsce na każdej liście.

Scipio /według Liddell Harta "większy, niż Napoleon"/ także stoi wysoko. Hannibal, jak to Liddell Hart podniósł słusznie, zaćmił go w wyobraźni ludzkiej głównie z powodu odpornej postawy w niepowodzeniu; jednak w rzemiośle wojskowym Scipio był mu co najmniej równy i na liście sławy wojskowej stoi tuż obok Hannibala.

Drugi rzymski kandydat obok Scipiona — Juliusz Caesar, jest mniej przekonywający. Jego wczesne kampanie były wojnami generała sepojów** /jak Napoleon określał Wellingtona/ przeciwko niecywilizowanym przeciwnikom, a późniejsze zwracały się przeciwko własnym rodakom, którzy nie zawsze szczerze mu się przeciwstawiali. Wybitny żołnierz w ataku i w obronie. Pisarz nudnych i przydługich raportów wojskowych. Należy mu się moim zdaniem, miejsce dalsze, za Hannibalem i Scipionem.

Naszym następnym kandydatem jest Aleksander Wielki, uosobienie młodzieńczej przygody i odwagi. Zastał on armię gotową i wyćwiczoną, był swym własnym panem i nie odpowiadał wobec żadnego rządu. Wszystko układało mu się zbyt łatwo i nie przeszedł próby niepowodzenia. Błyszczący meteor na nieboskłonie wojskowym. Należy mu się moim zdaniem miejsce poniżej bardziej trwałych gwiazd.

Belisarius jest moim szczególnym ulubieńcem. Miał on więcej wyobraźni i oryginalności, niż wszyscy inni dowódcy, o których czytałem. Wciąż wymyślał sposoby, aby wroga przechytrzyć i osiągnąć swój cel nie tylko walką, ale i fortelem. Był jednak równocześnie wielkim wojownikiem i umiał wyszkolić do walki swych ludzi. Służył swemu niewdzięcznemu panu—Justynianowi—lojalnie i dyskretnie, i niewątpliwie umiał także obchodzić się ze sprzymierzeńcami. Był to dowódca wielki pod każdym względem, mężnie znoszący przeciwieństwa losu. Powinien zająć wysokie miejsce na naszej liście, mimo iż Napoleon nie znał go nawet z imienia.

Ponieważ pomijam Dżingis Chana i Sabutaja, a żaden żołnierz europejski średniowiecza nie wybił się ponad przeciętność, powstaje wielka przerwa aż do Fryderyka Wielkiego. Jest to wojownik wielki—na groźny, skuteczny, pruski sposób. Podobnie jak Aleksander odziedziczył gotową armię i organizację wojskową, jednak stosowana przez niego metoda taktyczna obejścia /*oblique*/ była jego własnym pomysłem, wzorowanym prawdopodobnie na Epaminondasie. Jak Aleksander, natychmiast zaczął powiększać swój stan posiadania kosztem sąsiadów. Jednak podczas gdy Aleksander wniósł jakiś wiew młodzieńczości, rycerskości i przygody, Fryderyk był tylko zwykłym pruskim rabusiem. Jako żołnierzowi należy mu się jednak dobre miejsce. Jego polityka ataku zawsze, wszędzie i za wszelką cenę stała się tradycją w jego narodzie.

Następny z kolei to Cromwell, który przekonał się o swych zdolnościach wojskowych, gdy w czterdziestym roku życia rozpoczął karierę żołnierską. Wyćwiczył i natchnął swą Nową Armię, jednak jego taktyka nie była ani nowa ani szczególnie świetna. Mam wrażenie, że Liddell Hart w swej książce "*On the Indirect Approach*" dopatruje się poważniejszych zamiarów w strategii Cromwella niż sam Cromwell. Pod Dunbar jego przeciwnik Leslie niewątpliwie podszedł go i Cromwell uratował się tylko dzięki błędom taktycznym tego generała. Ogólnie rzecz biorąc, nie sądzę, aby Cromwellowi należało się miejsce na naszej liście. Być może pochodzi to stąd, iż nie miał sposobności do wykazania swych zalet na szerszym polu.

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że Marlborough posiada najwyższy tytuł do jak największej chwały wojennej. Może poszczycić się zarówno jakością, jak i wynikami. Był niezrównanym taktykiem i strategiem. Któż inny potrafiłby tak ugłaskać cierpliwością i wyrozumiałością kłopotliwych holenderskich sprzymierzeńców, lub przekonać swój rząd, że należy dalej prowadzić niepopularną wojnę? Nie wymyślił—to prawda—żadnej nowej taktyki, jednak jego ruchy na polu bitwy cechuje zawsze zdrowy rozsądek, energia i śmiałość. Sądzę, że nie ulega wątpliwości, iż był on największym wodzem, jakiego wydała rasa brytyjska i ma prawo do tego, aby go uważać za najzdolniejszego na świecie.

Przechodzimy do Napoleona, którego wielu usadowiłoby bez wahania na pierwszym miejscu w wojskowej Walhalli. Nie mogę go jednak postawić tak wysoko, jak Marlborough i niektórych innych. Napoleon był wspaniałym strategiem, jednak na ogół miernym taktykiem. Jest to zadziwiające twierdzenie, jednak studium jego bitew potwierdza to dowodnie. Wczesne włoskie bitwy Napoleona wykazują niecierpliwość w wykorzystywaniu sytuacji, które stworzyła jego intuicja strategiczna i śmiałość. Nie manewruje on prawie zupełnie na polu bitwy a wojska rzuca w ogień najprostszą drogą. Marengo było klęską spowodowaną przez pośpiech, który był wynikiem złego wywiadu i dopiero Desaix przeważył szalę, przybywając w sam czas. Jena była bałaganem. Gdyby kto inny dowodził pod Eylau, Wagram i Borodino, określono by te bitwy jako niezręczne rzeźnie. Późniejsze zaś jego bitwy: Lipsk, Ligny, Waterloo też nie wykazują zdolności taktycznych.

Aby podeprzeć jego reputację cytować się będzie Austerlitz. Nie ulega wątpliwości, że była to dobrze planowana i rozegrana bitwa, jednak było w tym wiele zasługi "terenu," a jako przykład taktycznego kontrataku nie wytrzymuje ona porównania z mistrzowską improwizacją Wellingtona pod Salamanką. Pod Friedlandem Napoleon szybko wykorzystał błąd zręcznego zazwyczaj przeciwnika, lecz taktyka tej bitwy była bardzo prosta.

Może się mylę, ale nie mogę odznaczyć Napoleona za taktykę. Prawie w ciągu całej swej kariery był swoim własnym panem i nie był odpowiedzialny wobec żadnego rządu; gdy zaś był odpowiedzialny, nie słuchał rozkazów. Nie zwracał również uwagi na szkolenie wojsk, za wyjątkiem korpusu weteranów. Wysoko go stawiam za strategię, energię i przedsiębiorczość—szczególnie w młodości, jednak jako taktyk był wyraźnie drugorzędny.

Wellington, przeciwnik Napoleona w jego ostatniej bitwie, był jego zupełnym przeciwstawieniem. Zdolny, choć nieco zbyt ostrożny strateg, uczył się sztuki wojennej w Indiach, gdzie była ona na poziomie wozów zaprzężonych w byki. Nie był błyskotliwy, ale zato pewny i równy. Jako taktyk zaś był zarówno pewny, jak i świetny. Był przede wszystkim mistrzem w obronie, jednak jego atak pod Assaye, przeprawa przez rzekę Douro i kontratak pod Salamanką wykazują, że umiał być śmiały i agresywny, gdy nadarzała się ku temu sposobność. Sposób w jaki używał "linii" brytyjskiej dla pobicia francuskiej "kolumny" był wynikiem zdrowej i głębokiej myśli taktycznej. W stosunkach ze swoim rządem i sprzymierzeńcami wykazywał podziwu godny takt i zdrowy rozum. Miał mniej temperamentu, niż Napoleon, lecz zdrowszy sąd—bodajże najzdrowszy ze wszystkich wielkich generałów.

Lee, najwybitniejszy bohater wojskowy amerykańskiej wojny domowej, był dobrym strategiem i taktykiem. Wielki w przeciwnościach i być może najbardziej uwielbiany i sympatyczny ze wszystkich wielkich wodzów. Za główny jego błąd, z czysto wojskowego punktu widzenia uznać trzeba to, że był zbyt "miękki"; był zdaje się zbyt szlachetny do tego nieszlachetnego interesu, jakim jest wojna. Ktoś bardziej bezwzględny napewno by wciągnął Longstreeta do bitwy pod Gettysburgiem o wiele godzin wcześniej, przez co skonfederowani zyskaliby dzień, a może wygrali wojnę. I być może, że to słabość sprawiła, iż przed Gettysburgiem pozwolił Jeb Stuartowi na jedną z jego fantastycznych wypraw na tyły wroga, czego skutkiem był brak konnicy w decydującej bitwie i w decydującym momencie.

Moltke był strategiem, a nie taktykiem. Pod Sadową tylko raport podjazdu, którego sam nie wysyłał, uchronił go od popełnienia wielkiego taktycznego błędu. Nie wydaje mi się, że powinniśmy uważać go za wodza, choć niewątpliwie był głębokim umysłem wojskowym.

Naszym współczesnym, Fochowi i Ludendorffowi, nie należy się również miejsce w pierwszym rzędzie. Foch popełnił zbyt wiele błędów, choć naprawił je w końcu dzięki swej nieugiętej postawie, która była jego główną zaletą. Ludendorff z drugiej strony, z całą swą zręcznością i wiedzą nie wytrzymuje próby niepowodzenia. Największy naród wojskowy ostatniego stulecia i być może największy wojskowy naród wszystkich czasów /pomyśleć, jak głupią rzeczą jest militaryzm!/ nie wydał ani jednego naprawdę wybitnego wodza i zadowolił się tylko figurami, jak Hindenburg lub Hitler, za którymi funkcjonuje SYSTEM ze swymi starannie wyuczonymi managerami, inżynierami, majstrami, nadzorcami, robotnikami—rzeczowo, skutecznie, nieodparcie, dopóki coś w maszynie się nie zepsuje.

Czy powyższe rozważania zbliżyły nas nieco do celu, którym jest wyznaczenie największego wodza wojennego? Czy Mynn grał lepiej w cricketa, niż Grace, Grace, niż Trumper? Różnica w warunkach gry uniemożliwia porównanie.

Główną przeszkodą w ocenie zasługi wojskowej jest brak szczegółowych wiadomości. Nie wiemy n.p. nic o organizacji i trudnościach, jakie Hannibal miał z dostawami. Być może, że gdyby posiadał jeszcze 50 słoni pomaszerowałby z pod Cannae wprost na Rzym i zmienił oblicze historii. Mimo to będę na tyle śmiały, aby uczynić wybór i oto jaki jest wynik tego wyboru.

Marlborough i Belisariusa stawiam jako pierwszych. Są to dwaj najzdolniejsi i najbardziej wybitni żołnierze, o których czytałem. Następna para to Wellington i Fryderyk Wielki, najpewniejsi i najczystszej wody żołnierze. Po nich Lee i Napoleon, dwa błyskotliwe przykłady sztuki wojskowej /zawodowiec i amator/. Gdzieś w ich bliskim towarzystwie musi się znaleźć miejsce dla Scipiona i dla Hannibala, lecz nie czuję się na siłach, aby określić ich dokładną pozycję. Dlatego stawiam ich "poza konkursem" jako przedstawicieli starej szkoły.

Nie przypuszczam, aby wszyscy zgodzili się na mój wybór i być może popełniłem wiele niedopatrzeń, ale nie miałem czasu na sprawdzenie faktów, które przytaczam. Rozmyślając o tych wielkich mężach, miałem godzinę lub dwie odprężenia od odpowiedzialności dowództwa w czasie wojny. I być może, iż moje uwagi dadzą i innym wytchnienie w obecnych surowych czasach, przypominając stare i lepsze wojny.

SIR ARCHIBALD WAVELL
autoryzowany przekład
DOMINIKA SZCZERBICA

* Por. część I: "Jakie zalety powinien mieć wielki generał" w nr. 50 z b.r.

** Sepoj, to żołnierz indyjski na żołdzie angielskim /przyp. tłumacza/.

O stosunkach polsko-angielskich

(Artykuł napisany specjalnie dla "Polski Walczącej") ★

Ktoś przyjazny, powiedział niedawno, że Polacy w Anglii, "stworzyli wyspę na wyspie." Jeśli to twierdzenie jest trafne, cóż za klęska dla Polski! Pochodząc z kraju, który z wyjątkiem Gdyni i drobnego skrawka wybrzeża, miał wyłącznie lądowe granice i który z tego właśnie powodu był tak słabo znany Anglikom (wiadomo, iż zwłaszcza na prowincji są oni bardzo wyspiarscy) każdy Polak powinien tym bardziej pozostawić ową "wyspę" za sobą i dać nurka w morze angielskości, które stoi przed nim otworem.

Polskie poczucie narodowe, porównać można do kruszczu, który przeszedłszy surową próbę w tyglu rozbiorów, jest tak doskonale zahartowany, iż nie może dać stopu z brytyjskim metalem. Jego wartość nie może się zmniejszyć, jednak kształt można dostosować w sposób bardziej praktyczny i w ten sposób szeroko ujawnić jego wciąż jeszcze nieznane bogactwa.

Anglicy, ze swą znaną powściągliwością stwarzają także u cudzoziemców fałszywe wrażenie zarozumiałości; rzecz jasna nie ułatwia to obopólnego zbliżenia. Polacy oraz inni cudzoziemcy powinni jednak pamiętać o tym, że Anglicy są duchowo bardziej skomplikowani, niż inne ludy białej rasy.

Są oni bardzo zamknięci w sobie i bardzo "nieśmiali", *they suffer greatly from "shyness"*, czego nie można wiernie przetłumaczyć, ale to da się może objaśnić. Pochodzi to głównie stąd, że cenią sobie bardzo wysoko "prywatność" własnych uczuć i myśli. Sądzą, że inni ludzie także nie lubią, gdy ktoś obcy wtrąca się w ich uczucia i myśli i zakłóca je. Stanowczo nie jest to zarozumiałym lekceważeniem cudzoziemców. Jest to raczej, na ogół zbyteczny, wzgląd na coś, co Anglik — sądząc po sobie — niesłusznie uważa za wrażliwość cudzoziemca. Zapomina on o tym, że choć on sam jest zamknięty w sobie, to cudzoziemiec jest prawie zawsze otwarty, lubi dzielić się swymi uczuciami i myślami z kimś innym, chętnie wywnętrza się przed ludźmi i dyskutuje na ten temat.

Ten pozorny chłód i brak zainteresowania nie powinien zatem odstraszać Polaków od pogłębiania znajomości z Anglikami. Nie ma dziś chyba Anglika niezainteresowanego bohaterskim narodem, który pierwszy przeciwstawił się zbrojnie Hitlerowi i który walczy przeciw Niemcom razem z nami tak mężnie i bez wytchnienia od września 1939 r. do dziś dnia, i walczył będzie aż do zwycięstwa. Wszyscy Anglicy podziwiają odwagę i zawsze w ciągu swych dziejów podziwiali tych, którzy jak oni, wolność cenili bardziej, niż życie.

Poczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że nasze wiadomości o Polsce, o tym co pojedynczy Polak lub Polka myślą i czują, są niewystarczające. Tak wiele z tego co Anglik wyobraża sobie, iż wie o Polsce przyszło drogą przez Niemcy, a Anglicy poczynają się z ostrożnością i powątpiewaniem odnosić do niemieckich źródeł informacji. Jeśli znamy rzekę jako: "ODER" a nie jako: "ODRĘ," czyż nie jest rzeczą zrozumiałą, iż myślimy o niej jako o rzece pruskiej, a nie słowiańskiej? Lecz Anglicy nigdy nie dowiedzą się prawdy, jeśli jakiś Polak im nie wytłumaczy, że to jest właśnie "ODRA" i że była "ODER" tylko przez 150 lat i to nieprawnie!

Jeśli niemieccy pisarze przekonali raz Anglików, że Polacy są narodem beznadziejnie niepraktycznych romantyków, niezdolnych do rzeczowego załatwiania swych interesów, to Anglicy będą nadal tak myśleli, chyba, że spotkają Polaków którzy—mówiąc po angielsku—opowiedzą im o Gdyni, o tym, co Polacy osiągnęli w przemyśle i w chemii na Górnym Śląsku, o polskiej marynarce i o tych wszystkich praktycznych dokonaniach, tak brutalnie przerwanych inwazją niemiecką w roku 1939. Anglicy nie są narodem, który instynktownie docenia wartość sztuki i muzyki, i dlatego takie nazwiska o światowej sławie, jak Chopin lub Paderewski wydają im się mniej ważne, niż nazwiska Edisona lub Marconiego, których wynalazki sami wypróbowali. Większość będzie brała Madame Curie za Francuzkę, aż do czasu, gdy każdy Polak tu przebywający wbije w głowę każdego Anglika, że była to niezwykle praktyczna polska kobieta. To zrobi wrażenie.

Praktyczna rzeczowość w załatwianiu interesów także zawsze zrobi wrażenie. Wydaje mi się, że armii brytyjskiej zaczyna imponować sprawność armii polskiej w wojnie współczesnej, tak jak ich towarzyszom w dwu pozostałych broniach imponują polskie lotnictwo i polska marynarka.

Lecz niechaj jeszcze te rozmaite polskie ministerstwa, które najczęściej stykają się z angielskimi okażą te same zalety a będą miały większy wpływ na swych angielskich kolegów. Wyraźnie błahe szczegóły jak n.p. punktualne (t.j. w ciągu trzech dni) załatwianie korespondencji oraz doskonała znajomość języka angielskiego tych, co zgłaszają się do telefonu w polskich ministerstwach, wpaja w Anglików przekonanie, że Polacy to nie romantyczny, marzycielski, na pół azjatycki naród słodkiego nicnieróbstwa lecz zdolny, praktyczny, zachodni naród, jak oni sami.

To jest ważne nie dlatego, że Anglicy pragną, aby inne narody były takie same jak oni, ale dlatego, że mówią: "Niemcy to niebywale zdolny i praktyczny naród, choć naród bez duszy. Polacy nie potrafią im się nigdy oprzeć, tak jakbyśmy tego pragnęli, chyba, że są równie praktyczni i zdolni jak Niemcy." Bardzo istotnym powodem pozornego braku zainteresowania ze strony brytyjskiej środkowowschodnią i wschodnią Europą było wrażenie—popierane, rzecz jasna, przez Niemców — że większość tamtejszych narodów jest zbyt niepraktyczna, aby mogła zarządzać swymi interesami w sposób właściwy i że będą one zatem stale wciągały nas w wojny, chyba iż rządzić nimi będzie jakiś naprawdę praktyczny naród jak n.p. Niemcy. Niebezpieczeństwo takiej zasady nie przeważyło w umysłach angielskich—a tym mniej amerykańskich—niecierpliwości, z jaką patrzano na waśnie i przewroty we wschodniej części Europy, a ich powody były najzupełniej obce szerokim masom ludności Anglii i Ameryki.

W polityce międzynarodowej nie wolno zapomnieć dzisiaj o tym, że w demokracjach anglosaskich władza naprawdę leży w rękach ludu i że niestety szerokie masy tego ludu są wciąż jeszcze tylko na pół wykształcone. Ludzie zaś na pół wykształceni łatwiej ulegają fałszywej propagandzie od analfabetów, gdyż są zarazem bardziej podatni na idee, mają mniej zaufania do swych naturalnych przewódców i łatwiej ulegają wpływom ambitnych demagogów.

Jest to rzecz zasadnicza dla przyszłości Polski, aby Polska i jej naturalne dążenia były zrozumiane i odczute przez demokrację brytyjską i to jak najprędzej. Można to osiągnąć, jeśli każdy Polak będzie się uważał za "komiwojażera" Polski. Musi on — w amerykańskim znaczeniu tego słowa—"sprzedawać" Polskę, t. zn. musi sprawić, aby pojedynczy Anglik czy Angielka zapragnęli wiadomości o Polsce, a następnie musi im opowiedzieć o tym wszystkim, co Polska zdziałała, o tym, co zamierza zdziałać, i jak Wielka Brytania może pomóc sobie, pomagając w budowie tej wielkiej i silnej Polski, która będzie w przyszłości filarem pokoju i zachodniego postępu w Europie środkowo-wschodniej.

Orzeł polski spogląda na zachód, nie na wschód. Niechże się nie obawia dobyć ze siebie głosu!

ALAN GRAHAM

* Kapitan A. C. Graham jest posłem do Parlamentu brytyjskiego. Wydał broszurę: "*Does Poland matter to Britain?*", której części były drukowane w "Polsce Walczącej" /nr. 48 z ub.r., nr. 3 z b.r./. Zabierał wiele razy głos w sprawach polskich z trybuny parlamentarnej.

INWAZJA NA ALGER


Konwój zbliża się do Afryki


Przeładowanie żołnierzy ze statku na "landing-craft"


Barki płaskodenne zbliżają się do nadbrzeżnej osady


Barka dobiła do brzegu


Flota broni nieba przed nieprzyjacielem

. . . X.

Wychodzimy w morze nagle, prawie bez uprzedzenia. Wszyscy są przekonani, że idziemy na ćwiczenia desantowe "*somewhere in Scotland.*" Na pokładzie mamy pełny ładunek wojsk amerykańskich i brytyjskich. Wychodzą z nami wszystkie "*troopships*" stojące dotąd obok nas w X- . . . Jest godzina 1 w nocy, gdy jeden po drugim potężne kolosy morskie podnoszą kotwicę i wymykają się z zatoki. Wiem, że idziemy na ćwiczenia, ale jednak coś mi mówi, że to będzie operacja poważniejsza. Coś nie "na niby."

. . . X.

Jesteśmy na Atlantyku. Pogoda dość "*rough.*" Wiatr około 5, ale dość silna martwa fala kiwa nami wcale nie na żarty. Kurs SW. Wiemy już więc, że nie idziemy "*somewhere in Scotland*" ale raczej "*somewhere in Africa.*" Pierwsze nasze przypuszczenie, że do Dakaru upada, gdy "poczta pantoflowa," tak niezawodnie działająca w takich wypadkach przynosi wiadomość o Casablance. A więc jedziemy zdobywać Maroko Francuskie.

Radość z tego powodu psuje nam trochę tylko pogoda. Ocean rozigrał się na dobre i zaczyna sobie z nami poczynać jak z piłką do zabawy. Idziemy w kilkunastu kolumnach. Same wielkie "*troopshipy*" eskortowane przez krążownik, lotniskowiec i całą sforę kontrtorpedowców. Ta jadąca na podbój flota symbolizuje jakby Aliantów, gdyż prócz statków brytyjskich są tu i amerykańskie, holenderskie i wreszcie polskie.

. . . XI.

Mamy dziś pewnego rodzaju urozmaicenie monotonii podróży. Oto po raz pierwszy sygnalizują nam okręt podwodny. "Obkładają" go bombami samoloty z naszego lotniskowca a kontrtorpedowce dodają od siebie kilka "*depth-chargów.*"

Dzisiaj także po raz pierwszy w tej podróży spostrzegam rekina. Olbrzymia bestia zatacza dwa duże koła wokoło statku. Przesądni pukają w niemalowane drzewo i spluwają za siebie. Rzeczywiście trochę to makabryczne zjawisko w zestawieniu z dzisiejszym okrętem podwodnym. Jakiś niewczesny dowcipniś stwierdza, że: "rekiny to zawsze tak—trzymają się w pobliżu okrętów podwodnych, bo czują żer." Inny znów wesołek porównuje rekiny, które ciągną za konwojem do kruków, które ciągną za wojskiem.

. . . XI.

Zaduszki — Dzień Zmarłych. Tak się złożyło, że akurat dziś mieliśmy pogrzeb. Na jednym ze statków umarł bosman. "Commodore" wydał rozkaz i w czasie uroczystości pogrzebowej wszystkie statki, z opuszczonymi do połowy banderami zatoczyły koło nad miejscem, gdzie spoczęło zaszyte w worek ciało pierwszego zmarłego w tym konwoju marynarza.

. . . XI.

Wiadomo już na pewno, że jedziemy na inwazję Algeru i Oranu. Nasz statek idzie do Algeru. Mamy wysadzić nasze wojsko trochę przed miastem, tak by oddziały naszego konwoju zaatakowały Alger od strony lądu. Dołączają do nas nowe kontrtorpedowce z Gibraltaru. Ku naszej radości odnajdujemy wśród nich i naszego starego, znajomego O.R.P. . . . Tak więc i Polska Marynarka Wojenna jest reprezentowana w tej "awanturze."

W nocy wchodzimy do cieśniny Gibraltaru. Z lewej burty widać oświetlone brzegi Hiszpanii, z prawej Maroko hiszpańskie, także dość jasno oświetlone. W cieśninie przed nami jarzą się światełka rybaków hiszpańskich. O godz. 12.30 widać już potężną skałę Gibraltaru, a z prawej burty lśniące tysiącami świateł miasto Ceutę.

Gibraltar, chociaż latarnie morskie ma pogaszone nie jest zaciemniony. Jednak w porównaniu z Ceutą, która wprost zionie ulewą świateł /tak przynajmniej zdaje się moim—przywykłym do *black-outu* oczom/ Gibraltar stoi jak wielki ciemny blok granitu, robi wrażenie ponure. Ceuta to po prostu "Luna-Park." Ta ulewa świateł robi na mnie duże wrażenie. Żyjąc w *black-oucie* przez przeszło trzy lata, nie zdawałem sobie po prostu sprawy, jak bardzo tęsknię do widoku zalanych światłem elektrycznym ulic i kolorowych neonów.

. . . XI.

Morze Śródziemne wita nas śliczną pogodą i gładką, prawie bez zmarszczki taflą swych wód. Z lewej burty brzegi Hiszpanii, nad którymi bieleją śnieżnymi kołpakami szczyty Sierra Nevada, z prawej sinieją na horyzoncie brzegi hiszpańskiego Maroka. Pod samymi brzegami ciągnie potężny konwój "*Royal Navy.*" Pancerniki i lotniskowce ostro odcinają się ciemnymi sylwetami na tle jasnych, urwistych brzegów "neutralnej" Hiszpanii, a wokół nich ugania sfora kontrtorpedowców, ścigaczy i korwet. Z tyłu, za nami widać ciągnący "*slow convoy*" z Gibraltaru ze sprzętem i amunicją.

O godz. 1 w południe pierwszy alarm p-lot. Wywiadowczy samolot "Breda" — dwusilnikowy Włoch, przelatuje wysoko ponad konwojem i chroni się w Hiszpanii przed naszymi startującymi z lotniskowców "*fighterami.*"

. . . XI.

O godz. 6 rano na jednym z amerykańskich statków idących po naszej lewej burcie, rozległa się silna eksplozja. Dymiąc, statek ten zawrócił w stronę Gibraltaru. Mówią, że był to wybuch benzyny, ale na 5 minut wcześniej widziano samolot, jak kierując się na Hiszpanię, znikł w chmurach. Diabli wiedzą komu wierzyć.

Około 11 w południe usłyszałem strzelaninę, ale chcąc się wyspać przed dzisiejszą nocą nie wstałem z koji. Był to znów samolot, który podobno usiłował atakować konwój, ale przestraszony silnym ogniem naszej artylerii zrezygnował. Na mojej wachcie /12—4 po poł./, trzy razy meldowano samoloty wywiadowcze. Dołączyła się do nas cała flotylla korwet i "*motor-boatów*" które będą prowadzić "*landing-crafty.*"

O godz. 5.30 ukazały się trzy bombowce. Otworzono do nich tak piekielny ogień z pancerników, kontrtorpedowców i naszych statków, że zdążyły rzucić bomby tylko gdzieś do wody i zwiały. Na tle granatowego nieba śliczny widok tworzyły czerwone sznurki pocisków "pom-pom," zielone "Boforsów" i świetliste smugi "Hotchkissów". "Oerlikony" dla uświetnienia widowiska, jakby nabijały niebo różowymi gwoździami, a od czasu do czasu cały horyzont rozjaśniał się potężną łuną towarzyszącą wystrzałom ciężkich dział.

Po wachcie idę spać, gdyż już za parę godzin może być naprawdę gorąco—dojeżdżamy już do celu podróży. O godz. 10.30 wieczorem budzi mnie huk zrzucanej kotwicy. Wychodzę na pokład.

Z lewej burty na horyzoncie łuna oświetlonego miasta, z prawej błyski latarni morskiej. Na pokładzie ruch i bieganina. Opuszczają "*landing-crafty,*" które odchodzą próżne, by wziąć z innych statków oddziały "*Commando*"; wylądują one pierwsze, by przygotować lądowanie armii regularnej.

Stoimy 12 mil od Algeru. Wokół nas czarne sylwety "*troopshipów*" ostro odcinają się na tle jasnej łuny, bijącej od miasta. Zupełne zlekceważenie *black-outu* to najlepszy dowód, że zaskoczenie będzie całkowite.

Wojsku wydano dziś rum, to też wszyscy /Amerykanie szczególnie/ są w doskonałych nastrojach. Wszyscy żołnierze i oficerowie U.S.A. mają na rękawach przyszyte duże banderki amerykańskie, a na maskach samochodów przyklejono wielkie bandery.

O godz. 12 w nocy wstępuję na wachtę. Alger wciąż jeszcze tonie w powodzi elektryczności. Latarnie morskie świecą normalnie. Oddziały "*Commando*" są już w drodze do lądu. Woda tu silnie fosforyzuje i szeregi "*landing-craftów*" pozostawiają po sobie fosforyzujące, jasno-zielone smugi. Każdy taki szereg prowadzi "*motor-boat*" palący słabe światełko, które służy dowódcom "*landing-craft'ów*" za drogowskaz.

Obserwuję wciąż przez lornetkę miasto i fort, trudno jednak coś zauważyć poza licznymi światłami. Około godz. 1.30 część świateł w mieście przestaje się palić, ale zapala się kilka reflektorów tylko po to, by zaraz z powrotem zgasnąć. Strzałów nie słychać.

O godz. 2.30 przychodzi z lądu pierwsza depesza: "Lądowanie odbyło się szczęśliwie." O godz. 4 nadchodzi radiotelegram zawiadamiający o wylądowaniu obu grup "*Commandosów*" i o wzięciu fortu Sidi Ferruch. Wobec tego podnosimy kotwicę i idziemy na wyznaczone miejsce blisko tego fortu, gdzie się będziemy wyładowywać. Kończę wachtę i idę spać przy akompaniamencie zgrzytów wybieranego łańcucha kotwicznego.

. . . XI.

Budzę się o godz. 11 na odgłos strzelaniny. To nasze "Oerlikony" walą do zabłąkanego tu Niemca. Stoimy w odległości mili od piaszczystego brzegu zatoki. Po prawej stronie, na cyplu Sidi Ferruch widać fort, który wczoraj /a właściwie dziś w nocy/ zdobyły prawie bez walki oddziały "*Commando.*" Widać przez lornetkę, jak koło dział kręcą się już angielskie obsługi. Głębiej w zatoce stoją ładne maurytańskie wille eleganckiej kolonii Ville des Dunes. Naprzeciw nas, w środku zatoki, odbywa się wciąż lądowanie wojska, samochodów i czołgów z naszych "*troopshipów*" i z "kargowców," które nadeszły w nocy w "*slow convoy'u*" z Gibraltaru.

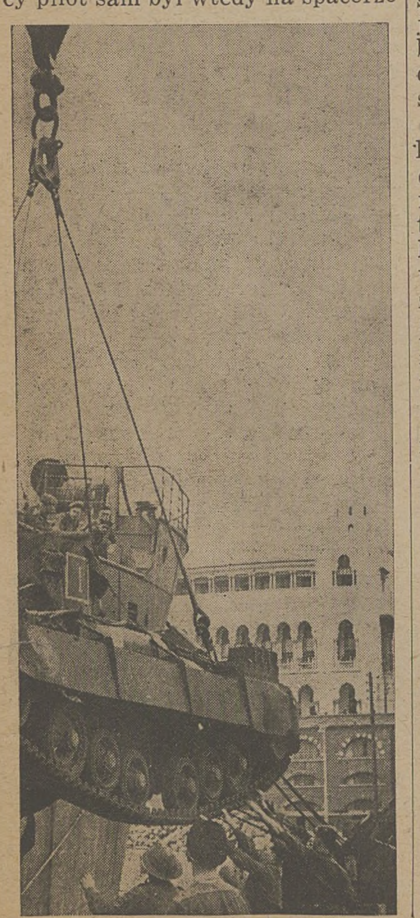
Oryginalny widok tworzy ta grupa statków zakotwiczonych na środku niewielkiej zatoczki. Od statku do statku krążą dziesiątki warkliwych "*landing-craftów*" rozmaitych rodzajów. Są więc specjalne łodzie do przewozu ludzi, czołgów, armat, są uzbrojone motorówki, przeznaczone do ochrony lądujących oddziałów i wiele jeszcze innych rozmaitych stateczków. Wszystkie krążą nieustannie między plażą a statkami i zwożą coraz to nowe oddziały lub coraz to nowe porcje wszelakiego sprzętu wojskowego. Gdy taki "*speed boat*" przybije do burty i gdy na bumach spuszczają mu samochód czy działko, to jednocześnie podaje się na lince kosz z sandwiczami i konewkę z herbatą, bo nawet na posiłek załoga jego nie ma czasu.

Pogoda jest ładna i afrykańskie słoneczko porządnie jeszcze przygrzewa. Stoję na mostku w rozpiętym mundurze i patrzę na dwa szeregi "*speed boatów,*" które nieustannie i niezmęczenie jeżdżą tam i na powrót, łącząc nasz statek z plażą zatoki jasną smugą swych kilwaterów. To pierwsza inwazja, jaką widzę i w której biorę bezpośrednio udział, pierwsza i, daj Boże, nie ostatnia.

. . . XI.

W nocy o godz. 12 obejmuję wachtę. Pogoda dość marna. Duży wiatr uniemożliwia ładowanie samochodów na łodzie. Nie wiem jak to będzie, bo rano mamy wyjść w morze do Anglii. Przyszła wiadomość, że w Casablance, Oranie i Algerze podpisano już "*armistice,*" wobec czego statki "*cargo*" mają rano wejść do Algeru,





by już w porcie dokończyć wyładunku.

Na lądzie około godz. 2 wybucha pożar gdzieś w okolicach miasta, prędko jednak gaśnie a w pół godziny potem puszczają dwie białe rakiety. To pewnie koniec operacji. Łapię Alger i słucham muzyki. W pewnej chwili przerywają płytę i zaczyna przemawiać . . . gen. Giraud, ten sam, który tak sprytnie zwiał z niewoli niemieckiej. Dawno już nie miałem francuskiego języka w użyciu, ale słowa odezwy tego generała zrozumiałem doskonale. Mówił o podpisaniu rozejmu: "Nadeszła chwila czynu Francuzi, chwila, w której każdy uczciwy Francuz chwyci za broń, by stanąć u boku wojsk Stanów Zjednoczonych, walczących o wolność całego świata. Francjo zbudź się—godzina odwetu wybiła"—wzywał grzmiący głos byłego jeńca niemieckiego.

O godz. 4 rano kończę wachtę i idę spać. Gdy się obudziłem, łoskot motorów oznajmił mi, że jedziemy. Wyszedłem na pokład, mijaliśmy właśnie cypel, poza którym bielił się w słońcu Alger. A więc jednak idziemy do portu.

O godz. 12 w południe jesteśmy już na redzie Algeru. Maleńka motorówka przywozi pilota. Jest to mały, czarny Francuz, który wita nas radośnie uśmiechniętą twarzą. Rzucamy kotwicę na środku zatoki. Obok nas stoją inne statki. Oglądam miasto i port przez lornetkę. Długie falochrony i mola chronią port wewnętrzny, w którym stoi kilka statków francuskich. Są to eleganckie "pasażery" wycieczkowe o czerwonych kominach i biało-czarnych burtach—widok niezwykły podczas wojny.

Wzdłuż basenów portowych ciągnie się wspaniały bulwar, przy którym stoją wielkie białe lub piaskowe bloki, budowane przeważnie w stylu maurytańskim /okna, kolumienki i krużganki/. Dalsze domy stoją już na zboczu, na którym leży całe miasto. Są to bądź duże bloki domów /zresztą utrzymane w stylu arabskim tak, że zupełnie nie rażą obok minaretów/, bądź też wille i arabskie domki o płaskich, białych dachach. Gdzieniegdzie złocą się w słońcu kopuły i minarety meczetów lub wystrzela w niebo smukły kształt obelisku. W prawo na wzgórzu bieleje masa zbitych domków arabskiej dzielnicy Kashba /znanej mi z filmu "Pépé le Moco"/.

Pilot czekając na swą motorówkę opowiada z entuzjazmem o wkroczeniu "Américains" do miasta. Odbyło się wszystko bardzo spokojnie. Nie napotykając na opór załogi miejscowego garnizonu, Amerykanie /ciągle mówi tylko o Amerykanach—o Anglikach nie wspomina, bo rzeczywiście Amerykanie rzucają się najwięcej w oczy swymi banderkami ponaszywanymi czy nalepionymi, gdzie tylko się dało/ a więc Amerykanie wkroczyli bojowo od razu z trzech stron miasta. Zdziwili się ogromnie, gdy na ulicach spotkali tłum spacerowiczów /opowiadający pilot sam był wtedy na spacerze ze swoim synkiem/, którzy zjawienie się ich powitali entuzjastycznymi okrzykami. W dodatku miejscowi "de Gaulliści" oddali im w ręce uprzednio już aresztowanych zwolenników "Osi." Jedynym "łupem" wkraczających wojsk były samochody uciekającego z miasta personelu konsulatów włoskiego i niemieckiego.

Nasz pilot opowiada, że w mieście panował głód, gdyż całą żywność wysyłano do Libii, dla armii Rommla. Tak na przykład na osobę przypadało 50 gramów mięsa tygodniowo. Podczas opowiadania pilota na redę Algeru przybywają coraz to nowe statki, tak, że wkrótce robi się tu porządny tłok.

O godz. 5 po południu wywabiają mnie na pokład strzały broni maszynowej. Gdy wyskakuję z kabiny, spostrzegam nad samym statkiem dziewiątkę bombowców. Nadlatują z nad lądu w równiutkiej formacji eskadry—jak na defiladzie i dopiero nad samym statkiem rozlatują się w dwie strony. Ze statków grzeją do nich "Boforsy" i "Oerlikony." Nagle widzę błysk i na małym przeciwlotniczym okręcie wojennym bucha w niebo słup ognia. Równocześnie wokół stojącego obok nas statku wykwitają wysoko ponad jego maszty trzy słupy wody, a na lądzie w pobliżu arabskiej dzielnicy zapala się wśród obłoków żółtego dymu jakiś dom. Chwilę potem jeszcze pięć słupów wody znaczy miejsce upadku spudłowanych bomb "Boszów."

Ze statków rozpętuje się istna orgia strzałów. Lecą w górę barwne pociski "Boforsów" i "Oerlikonów," grzmią basem działa przeciwlotnicze, a akompaniuje im ciężka artyleria z widocznych na widnokręgu okrętów liniowych "*Royal Navy,*" które co chwila zapalają zaciemniający się już horyzont jasnymi łunami odblasków. Biegnę na "*monkey island,*" by lepiej widzieć. Jest tu już trzeci oficer i angielski oficer łącznikowy.

Na niebie "Heinkle" rozpierzchły się na wszystkie strony jak przestraszone stado sępów, a na każdego z nich sypie się istna ulewa kolorowych pocisków. Są niestety poza zasięgiem "Oerlikonów," ale "Boforsy" dają się im widocznie we znaki, bo zygzakują i kręcą się jak w ukropie. Tymczasem ściemnia się z każdą sekundą i raczej domyślamy się, gdzie są, niż widzimy poszczególne samoloty.

W pewnej chwili od strony lądu nadlatują mniejsze maszyny. Nasze "Oerlikony" i "Boforsy" przenoszą na nie swój ogień. Patrzę przez lornetkę i nagle rozpoznaję "Spitfire'y." Przyskakuję więc do marynarza strzelającego z "Oerlikona" i ryczę mu w ucho: "*Stop fire, it is our plane.*" Jednocześnie trzeci oficer gwiżdże i daje rozpaczliwe znaki rękoma do "Boforsa" i innych "Oerlikonów" i udaje mu się wstrzymać ogień zaciekłych "*gunnerów.*" Na chwilę milknie szczęk karabinów, więc korzystając z tego patrzę na trafiony bombami okręt. Na rufie pali się i co chwilę widać dość wysokie wybłyski eksplozji.

Na niebie znów rozgorzała walka. Zza chmur wyskakują nagle dwa bombowce i rzucają bomby między nas, a stojące dalej w zatoce statki. "Boforsy" i "Oerlikony" zioną znów kolorową ulewą pocisków. Śledzę jednego z Niemców, jak usiłuje wydobyć się z pośród ścigających go ogników i nagle widzę, jak w powodzi kolorowych pocisków zjawia się za "Heinklem" maleńka sylwetka myśliwca. "Heinkel" strzela do niego z tylnej wieżyczki, ale w tej samej chwili ze skrzydeł "Spitfire'a" wytryskują czerwone smużki i łączą oba samoloty świetlistą wstążką. Sekunda i Niemiec wali się w dół, wlokąc za sobą słup ognia.

Wszystko to dzieje się wśród szalejącego ognia broni maszynowej i artylerii. Gdy trafiony "Heinkel" paląc się, zaczął lecieć w dół, umilkły na chwilę wystrzały na statkach a zamiast nich wybuchła istna burza oklasków i dzikich wprost krzyków radości. Sam nie mogłem się powstrzymać od zwycięskiego a nieartykułowanego zgoła "ryku" na widok świetlistego meteoru.

Gdy już był blisko ziemi, od kadłuba jego oderwał się spadochron, lecz zaraz po rozwinięciu się buchnął także płomieniem i wraz z samolotem zwalił się ciężko na ziemię, gdzieś na wschodnim krańcu miasta. "Spitfire" zatacza nad nim "*victory round.*" Podziwiam go tym więcej, że dosłownie wlazł w sam środek piekła własnej artylerii, by dostać i wykończyć Szwaba.

Chwilę tylko trwa głośna radość wywołana strąceniem palącego się jeszcze na lądzie Niemca, gdyż pochłania nas nowy "Heinkel," a właściwie kilka, atakujących teraz lotem nurkowym tuż nad wodą. Wita ich żywa ściana "*tracerów,*" więc zawracają i gonione przez barwne ogniki, tuż nad wodą wieją w stronę lądu. Jeden z nich, czy trafiony, czy też po prostu "zgoniony" wpada na plażę i rozbija się. W górze "Spitfire'y" przeganiają resztę "Heinklów" a zapadająca szybko noc kończy wreszcie dzisiejsze emocje.

Na horyzoncie tylko odbywa się jeszcze walka. To "*Royal Navy*" odpiera atak zaciekłych "Heinkli." Głuche dudnienie artylerii i wybuchów oraz łuna bijąca wysoko w niebo znaczą miejsce walki tych olbrzymów morskich z atakującymi je bombowcami. Zajęty byłem obserwacją walki powietrznej rozgrywającej się nad naszymi głowami i w stronę floty wojennej nie miałem przedtem czasu spojrzeć, ale i tam widziano kilka strąconych "Heinkli"—świetlistych meteorów lecących ku ziemi.

. . . XI.

Rano był atak na konwój, a nawet stojący niedaleko nas statek holenderski "obłożono" wokoło bombami. Wszystkiego tego dowiedziałem się od kolegi zdającego mi wachtę, gdyż sam zmęczony wczorajszymi przeżyciami i nocną wachtą nawet się nie przebudziłem. Z radia dowiadujemy się, że wczoraj strącono dwanaście "Heinkli," a dzisiaj dalsze trzy.

Pogoda dziś śliczna i morze jak lustro, więc korzystając z tego wyładowujemy na "*landing-crafty*" i na naszą motorówkę ekwipunek wojskowy.

Około 5 po południu znów nalot i znów jestem świadkiem, jak jeden z niemieckich samolotów zapala się i przecina ciemne niebo jasną smugą, by za chwilę zgasnąć w morzu. Nie robi to już na mnie dziś takiego wrażenia, jak wczoraj, widocznie do wszystkiego można się przyzwyczaić. Okręty wojenne przez jakieś pół godziny robią piekło na horyzoncie i równo z zapadnięciem mroku, który tu zapada wprost momentalnie, kończy się nalot i z nim ogień dział "*Royal Navy.*"

. . . XI.

W nocy wychodzimy i sami—bez konwoju—na "*full speed*" kierujemy się na Gibraltar. W drodze odbieramy całą masę depesz S.O.S. Niektóre z nich od statków z naszego konwoju. Zostały albo zaatakowane, albo nawet storpedowane przez okręty podwodne.

Wieczorem o godz. 10.05 nagle z przed samego naszego dziobu "wyprysnął" na "*full speed*" i dając lewo na burtę, płytko zanurzony okręt podwodny. Szliśmy z szybkością X i zygzakowaliśmy, więc szybko dano prawo na burtę i przerywając zygzag na "pełnym gazie" wyrwaliśmy w przeciwnym kierunku. Widocznie i na okręcie przestraszyli się nie na żarty, gdyż nawet nie posłali za nami torpedy.

Niefortunna "łódka" widocznie przyczaiła się blisko naszego kursu, by w odpowiednim momencie posłać nam torpedę, a tu nagle my, zygzakując zmieniliśmy kurs wprost na nią i o mały włos, a rozjechalibyśmy pechowych piratów. Nic dziwnego, że na łódce byli pewno więcej przestraszeni, niż u nas. Złośliwi nawet twierdzą, że był to po prostu duży "kanalot," ale to tylko dla uspokojenia własnych nadszarpniętych nerwów.

Idziemy na wszelki wypadek blisko brzegów Hiszpanii, jako że mamy tyleż szans, że dojedziemy do Gibraltaru, ile szans, iż nas storpedują. Od "łódek" aż się tu roi.

Rano jesteśmy w Gibraltarze. A więc udało się.

WOJCIECH HALICZ


Spadochroniarze brytyjscy w Algerze


Sztandar amerykański w marszu


Oficer amerykański w rozmowie z tubylcem


Biwak w dokach Algeru


Załadowanie więźniów niemieckich w Algerze

Palestyna—1942

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Najmłodsi koledzy

Spieczona i popękana od słońca, brunatno-pomarańczowa gleba.... Jak okiem sięgnąć poprzez faliste równiny ciągnie się step pokryty wyschłą trawą. Na horyzoncie majaczą w lekkiej mgiełce łagodne zbocza gór, czasami niebieskie, niekiedy, gdy są oświetlone słońcem, różowe lub zgoła szkarłatne. Poprzez step biegnie wspaniała asfaltowa szosa, miejscami obramowana żywopłotem z kaktusów, sięgających do trzech metrów wysokości. W oślepiającym blasku słońca robi wrażenie jakby była ze szkła lub z ołowiu. Ma przy tym fioletowy odcień.

Po obu stronach szosy ciągną się jasno-pomarańczowe ścieżki, po których dostojnie kroczą wielbłądy, obładowane skrzyniami lub workami. Obok zwierząt z powagą idą Beduini w pasiastych i brudnych burnusach. Po tych samych ścieżkach drobnym truchcikiem biegną osiołki wielkości dużego duńskiego doga. Na ich grzbietach, lecz tuż przy ogonie siedzą właściciele, bełcząc w powietrzu, nieomal nad samą ziemią, czarnymi od brudu stopami.

Obok szosy, ukazują się od czasu do czasu, zapadłe w ziemię, wioski Fellachów wybudowane z kamieni lub zlepione z gnoju wielbłądziego, będące obrazem dna nędzy ludzkiej. Z tych wiosek na widok Europejczyka jak szarańcza wybiegają chmary czarnych lub brunatnych Arabiątek i atakują go z wrzaskiem, w którym rozróżnić można tylko jedno słowo: "Bakszysz" (pamiątka). Obok tej samej szosy, jednak w dość sporej odległości od osiedli Arabów wzrok natyka na najbardziej zmodernizowane kształty z komfortem urządzonych will, tworzących osady. Białe, czyste ściany budowli toną wśród zieleni kaktusów i drzew pomarańczowych. Są to nowo powstałe kolonie imigrantów-Żydów.

Ten kontrast i wynikające z niego następstwa natury głębszej spowodowały nienawiść Arabów do Żydów, która już dwa razy wylała się w krwawych zamieszkach. Na czas wojny zapadło milczące "zawieszenie broni." Wydaje się, że w ogóle niezależnie od wojny wszystko idzie ku uspokojeniu. W każdym razie Żydzi są przekonani, że "jakoś tam będzie." Jednak powtarzające się co dziesięć kilometrów kwadratowych, ponure, przypominające średniowieczne twierdze — budowle, zdolne do wytrzymania oblężenia, popartego ogniem broni ręcznej a nawet lekkiej artylerii, wymownie mówią, że jedni nie zrezygnowali z praw do kraju, w którym mieszkają nieomal od tysiąclecia, drudzy zaś trwają w niezłomnym postanowieniu, odzyskania swej prastarej ojczyzny, którą musieli opuścić pod przymusem.

Na skrzyżowaniach szos stoją posterunki wojskowe. Składają się one z reguły z trzech żołnierzy: z Australijczyka o potężnych barach, z ogromnym pistoletem przy boku, podoficera Policji Palestyńskiej w baraniej czapce z arabskimi i hebrajskimi cyframi na piersiach i . . . polskiego żandarma z czerwoną opaską na ramieniu, na której figuruje żółta litera "Ż." Dwaj ostatni członkowie tego osobliwego triumwiratu mają także pistolety. Każdy ma swój resort: Australijczyk sprawdza i kontroluje wyłącznie brytyjskie wozy wojskowe, członek Policji Palestyńskiej cywilne wozy ludności żydowskiej i arabskiej, nasz podoficer—przetrząsa polskie samochody. Gdy jeden z nich jest zajęty swoją czynnością, pozostali dwaj gadają ze sobą, nie zwracając na czynności pierwszego najmniejszej uwagi.

Na dużych połaciach nieuprawianej od setek lat ziemi, na łagodnych zboczach wzniesień, między winnicami i plantacjami pomarańcz, na obszarach, na których w czasie trzymiesięcznej pory deszczowej rośnie bujna trawa, a w czasie dziewięciomiesięcznej posuchy hula gorący wiatr, obecnie są rozbite obszerne, ciągnące się w nieskończoność obozy wojskowe—brytyjskie, polskie, amerykańskie, hinduskie i greckie. Zdala od dróg, na polowych lotniskach, można dostrzec sylwetki potężnych bombowców. . .

Oto jest powierzchowny obraz Palestyny w dobie obecnej. . . .

Nasz obóz rozciąga się w gołym stepie, na którym ledwie wegetuje pożółkła trawa. Słońce pali nielitościwie. Rozpalone powietrze drga. Zarysy położonych daleko na wschodzie gór także zdają się poruszać. Gdy się spojrzy na zachód, można dostrzec granatowy pas Morza Śródziemnego. W godzinach południowych wszelkie życie ustaje. Tylko jaszczurki korzystając ze spokoju, wyłażą z rozpęknięć w ziemi, aby rozpocząć łowy na owady. Czasami na skraju szpary można dostrzec straszliwego szarego skorpiona. . . .

Po szosie, która przepoławia obóz krążą Arabi i krzykiem: "dobra winogrona" lub: "arbuz, arbuz" zachęcają do kupowania owoców, wspaniałych - zresztą, pełnych słodyczy i aromatu.

Obóz sam—to porozrzucane na wielkiej przestrzeni namioty i baraki, rozbite w pozornym bezładzie, bez troski o jakiekolwiek regularne linie. Bombardowanie takiego obozu to marnowanie bomb i sprzętu. Między poszczególnymi namiotami jest do stu metrów odległości. Życie nie ma tych wygód, co gdzieindziej, mimo to jest miłe i przyjemne. Między barakami i namiotami są porozrzucane łazienki z doskonałymi prysznicami. Każdy obóz posiada kino, w którym są wyświetlane najnowocześniejsze filmy angielskie i amerykańskie. Poza tym w każdym obozie jest kilka suto zaopatrzonych sklepów NAFFI. Czego jednak naprawdę brak, to prasy — dobrej polskiej prasy. Tutejsza prasa jest dopiero w stadium początkowym i jest raczej tylko źródłem informacji i to skąpym. Przydało by się, aby "Polska Walcząca" docierała tu bodaj w minimalnej ilości egzemplarzy na oddział, lecz w ciągu 10-12 dni od chwili ukazania się numeru.

Poza tym o życiu w obozie można powiedzieć "byczo jest," nie tak byczo jak tam, gdzie nas nie ma, ale zawsze byczo. Śpi się po kilku, a jeżeli chodzi o niższe szarże po kilkunastu w jednym namiocie lub baraku. Aby dostać osobny pokoik trzeba być wysokim obozowym "dygnitarzem." Jakiekolwiek ćwiczenia w polu są możliwe do godziny 9-ej, a najwyżej do 10-ej; potem skwar zabija wszelką chęć nie tylko do pracy fizycznej, lecz nawet do myślenia. Ten marazm trwa do godziny 4—5-ej popołudniu, poczem gdy upał ustaje, człek na nowo jest zdolny do ruszania i mózgiem i członkami. Jedzenie w obozie jest dobre. Jest dużo jarzyn i olbrzymia ilość winogron, kawonów, śliwek, moreli i brzoskwiń.

Noce są udręką, szczególnie dla "nerwowych," przyzwyczajonych do szkockich "billetingów," gdzie poczciwa pani domu kładła do łóżka butelkę z gorącą wodą. Teraz facet, przed położeniem się do polowego łóżka /o ile mu to łóżko przysługuje/ musi je dokładnie przetrzepać i wyprosić z niego myszy polne i karaluchy wielkości małego palca ręki. Ci zaś, którzy śpią w namiotach, na siennikach, położonych na gołej ziemi, winni sprawdzić, czy pod siennikiem nie ma jakiegoś owada lub płaza. Należy jednak stwierdzić fakt, że gdy łóżko jest ostatecznie zajęte przez właściciela, stworzenia się już do niego nie zbliżają. Jako tako spokojny sen jest możliwy tylko wtedy, gdy nad łóżkiem jest rozwinięty "mosquito-net"—siatka przeciw komarom. W przeciwnym razie człowiek budzi się całkiem pocięty i wygląda jak jeden duży bąbel. Obecnie siatka taka wchodzi w skład wyposażenia polowego każdego żołnierza na *Middle East*. Na komary to wystarcza. Lecz karaluchy, które są bardzo ciekawe, przy swej inteligencji potrafią przedostać się do łóżka, o ile siatka nie jest dość szczelnie podwinięta pod siennik i wtedy zaczynają /nieszkodliwie zresztą/ podmacywać człowieka swymi długimi wąsiskami.

Wtedy facet—szczególnie o ile jest delikatny—obudziwszy się i przekonawszy, że to nie jest szkocka butelka, lecz coś żywego, z histerycznym wrzaskiem wyskakuje z łóżka i do świtania idzie obserwować wspaniałą, śródziemnomorską, gwiaździstą noc. Jeśli jest miłośnikiem piękna, nie marnuje czasu. Ciemno fioletowe niebo literalnie kapie złotem. Okolica jest zalana jasnym seledynowym światłem księżycowym. Mleczna droga, jak wstęga matowego srebra przecina sklepienie. Od czasu do czasu meteor przeszyje cichą noc i na chwilę wśród ciszy napełni przestrzeń oślepiającym światłem. Wtedy można widzieć całą okolicę z najdrobniejszymi szczegółami na odległość kilku kilometrów. Najrozmaitsze myśli powstają wtedy w głowie. Siedem brylantowych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy jak gdyby mówi: "Tam. Tam jest Polska." "Tam cały Naród cierpi." Namioty skąpane w seledynie mówią: "Jesteś w prawdziwym wojsku."

To też nasze wojsko tutejsze jest bez przesady doskonałe. Duch szczególnie wśród tych, którzy przybyli z Północy i Południa jest wspaniały. U jednych z powodu dumy, że znów służą w wojsku i będą się bili, u drugich, że już się bili i jeszcze się będą bili. Te drobne niewygody rodzą jedynie hart i przysparzają ducha żołnierskiego. Równocześnie człowiek patrząc na ten majestat przyrody nabiera przekonania, że jest właściwie niczym a to potęguje przekonanie, że trzeba oddać tę iskierkę życia dla dobra Sprawy.

Ale dźwięk polskiej mowy można usłyszeć nie tylko na tych pustynnych stepach Palestyny. Zdarzyło mi się go dosłyszeć wśród gwaru Jerozolimy w pierwszy dzień pobytu w tym mieście.

Jaffska Brama. Jest to granica starej i nowej Jerozolimy. Na skrzyżowaniu kilku ulic tłok nie do opisania. Po jezdni suną bez przerwy samochody, lory naładowane towarem o pociągu motorowym i konnym, autobusy, karawany wielbłądów i całe masy osiołków. Wszystko to wyje, rży, gwiżdże i trąbi. Przeraźliwy ryk zwierząt zlewa się z sygnałami pojazdów. Tłum czarnych, brązowych i białych Arabów, odzianych wyłącznie w burnusy i zielonkawo-bladych Żydów ze starego miasta w chałatach biegnie gdzieś nerwowo i z pośpiechem.

Wtem na ulicy między zwierzętami i maszynami zauważyłem dwóch chłopców: starszy nie liczył więcej ponad 12 lat, młodszy ponad 5 lub 6. Obaj mieli niebieskie oczy, płowe włosy i lekko ogorzałe twarze, na których zostały ślady głodu, cierpienia, utrwaliło się coś, co z tych dziecinnych twarzyczek robi oblicza dorosłych ludzi. Obaj byli ubrani w bluzy typu wojskowego i krótkie spodenki, z których wydostawały się szczupłe, niedorozwinięte łydki. Starszy prowadził młodszego za rękę i trzymał pod pachą butelkę z mlekiem.

—"Janku pośpiesz się"—krzyczy starszy do młodszego, starając się zagłuszyć gwar ulicy. Po chwili obaj są na chodniku.

—"Dzień dobry dziatki".

—"Dzień dobry panu".

—"Co wy tu robicie?"

—"Idziemy do domu".

—"A gdzie wasz dom?"

—"Tu niedaleko—punkt zborny dla junaków."

—"A rodzice gdzie?"

Smutek przeleciał przez twarze chłopców . . .

—"Mamusia umarła w Rosji" —cicho odpowiedział starszy.

—"A tatuś?"

—"Tatuś zginął w Warszawie".

Po chwili chłopcy znikli w bramie Jaffskiej idąc "do domu". Tak oto mniej więcej witają się Polacy na tutejszym terenie i takie mniej więcej potem następują rozmowy. Nie ma rodziny któraby przyjechała w całości. Rodzice pogubili dzieci, dzieci poprzyjeżdżały jako sieroty bez ojca i matki. Cała ta masa ludzi powoli dopiero przychodzi do siebie. W naszym oddziale służy starszy już żołnierz. Człowiek ten stracił w Rosji żonę i pięcioro dzieci. Pozostał sam jak palec Boży. Jest cichy, spokojny i zacięty. A ilu takich jest? Nie sposób tego przeliczyć.

Junacy są umieszczeni w specjalnym obozie. Stan liczebny tego obozu dawno już przekroczył liczbę czterocyfrową; nowi zaś chłopcy wciąż przybywają. . . Obóz jest urządzony wzorowo. Są kompanie przedszkola, szkół powszechnych, kompanie kadeckie oraz kompanie małoletnich — przyszłych podoficerów zawodowych. Niestety dzieci te widziały zbyt dużo zła. Praca nad nimi jest ciężka. . . Z pomocą jednak przychodzi głębokie poczucie przynależności narodowej tych dzieci i wielki ich patriotyzm.

Na skraju niedawno powstałego wesołego miasteczka handlowego, ciągnącego się długim sznurem czystych will, kantorów i magazynów, pochowanych wśród palm, kaktusów i krzewów agawy, między zagajnikami cyprysów i polami winnej latorośli powstał inny obóz. Obóz Pomocniczej Służby Kobiet. Gwara wojskowa już zdążyła nadać kobietom będącym w tej służbie nazwę "Pestki." Obóz "Pestek" jest także wielki i jego stan liczebny także dawno już przekroczył czterocyfrówkę. I do niego wciąż przybywają nowe kobiety, które nazajutrz przeistaczają się w "Pestki."

Są umundurowane na wzór angielski. Wszystkie przechodzą coś w rodzaju przeszkolenia rekruckiego, poczem albo idą do prac kancelaryjnych do sztabów, albo obejmują niektóre działy służby gospodarczej lub też specjalizują się w poszczególnych gałęziach czystej służby wojskowej, jak łączność, prowadzenie pojazdów i t.d. lub wreszcie idą do szkoły oficerskiej. Do tej szkoły jednak trafia tylko bardzo mały procent kobiet, mianowicie te, które mają maturę.

Karność w obozie jest zdumiewająca. Po prostu nie do uwierzenia, że te kobiety, które tak dużo przeżyły, a nieraz potraciły swych najbliższych, potrafiły w tym stopniu opanować siebie. Wystarczy powiedzieć, że kobieta ze Służby Pomocniczej jest wzorem żołnierza i to pod wielu względami. Polka potrafiła być wzorową gospodynią i matką swych dzieci, teraz po stracie tego, do czego jest powołana, stała się wzorowym bojownikiem o Wolność . . .

* * *

Niedługo już, a okres upałów powoli zacznie przemijać. Niebawem nastąpi najpiękniejsza pora roku, podobna do naszego maja lub początków czerwca. Zakwitną róże i dojrzeją pomarańcze . . .

Od czasu do czasu można już dostrzec przylatujące bociany i jaskółki . . .

Pomyśleć tylko. Niejeden z tych kluczy bocianich lecących na południe, z których sporo pozostaje tutaj, aby wśród nas przezimować, — przyleciał wprost z Polski. Niejeden z tych kluczy zebrał się gdzieś na łąkach Polesia, Mazowsza, Wileńszczyzny i tak niedawno —bo przed kilku dniami—opuścił rodzimą strzechę polską . . .

Słońce jak zwykle krwawo chyli się ku widnokręgowi. Na rozżarzoną ziemię spada powoli lekka fioletowa mgła. Między namiotami i wśród baraków zaczynają bezszelestnie latać nietoperze, rysując w zapadającym zmroku zygzakowate, tajemnicze linie. Arabi złażą z wielbłądów i obracając twarze w kierunku Mekki, kornie schylają się ku ziemi wznosząc modły do Ałłacha.

W naszych obozach słychać: "Boże coś Polskę," a potem "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród."

ARNOLD JASKOWSKI

Najmniejsi przyjaciele



DZIWY NIEBIESKIE W TOBRUKU

Utwór ten jest wynikiem moich rzeczywistych przeżyć i przemyśleń. Obserwacja gwiazd skracała mi długie i nużące noce czuwania na froncie w pustyni.

Kolegom z Kampanii Libijskiej utwór ten poświęcam.



zdobił Stefan Osiecki

ZODIAK

Zmęczony trudem dnia, przygnębiony tłumem cisnących się pytań zasnąłem na posłaniu w schronie. We śnie, ktoś kto mnie kiedyś kochał, a dzisiaj leży w grobie, odkrył mi prawdę, co się kryje w znakach zodiaku ciążących nad oblężonym miastem.

Zrozumiałem wtedy, że Baran znaczy: "głową muru nie przebijesz," że Byka tu mnóstwo w czerwonych, blaszanych puszkach, i że Bliźnięta zostały głodne w Kraju. Pojąłem, że Rak wyobraża ludzi, którzy tutaj czołgają się jak raki, a Lew w powietrzu węszy krew. Panna jest tylko na niebie, bo panien pięknych i strojnych tu nie ma. Tu nie ma w ogóle kobiet. Waga ukazuje się nad miastem, bo tu się ważą losy ludów. Skorpion żądło śmierci nad twierdzą nachyla, a Strzelec to ja. Koziorożec znaczy, że tędy przechodzi zwrotnik mego życia a Wodnik jest często pusty. Dwie Ryby zaczarowane płyną po ogromnym morzu. Jedna ma wyłupiaste, krwią nabiegłe oczy. Na który okręt popatrzy, ten zatonie. Druga Ryba ma oczy wyblakłe i zmęczone. Prowadzi drżące i przestraszone okręty przez zaklęte złoża minowe, wśród stad chyżych torped. Szczęśliwi, których wiedzie Ryba z wyblakłymi oczyma; niech odpoczywają w pokoju ci, na których okręt spojrzała ryba śmierci.

WĄŻ

Przez strzelnicę w okopie wcisnął się chytry Wąż. Szeptał do mnie sycząc, że nie warto żyć, że nadzieja to gonitwa złudnych wyobrażeń, że wiara to naiwna pewność nieprawdy, że miłość to słowo rzucone na wiatr, że na świecie wszystko jest kłamstwem. Mówił długo i zdawało się, że mówi mądrze, jak stary, doświadczony przyjaciel. Gdy Wąż zniknął wśród kamieni, w okopie prócz pustki i mnie nie było nikogo.

SMOK

Potem przyszedł straszny, ognisty Smok i chciał mnie przerazić dymem i żelazem. Ogień i stal buchały mu z paszczy. Za nim stąpało widmo śmierci i szeleściła głucha susza krwi pomieszanej z piaskiem i grozą czających się min. Skurczyłem się, wtuliłem się we wnęk okopu i czekałem, aż smok odejdzie.

HYDRA

Z morza, o tak cichej, rzadkiej godzinie wychyliła się oślizgła głowa Hydry pamiątek. Potwór lepkim językiem bełkotał słowa kłamliwe: "Twój świat zatonął. Nikt już nie wydobędzie go z głębin. Widziałam na rafie morskiej roztrzaskaną nawę twej ojczyzny. Przyniosłam ci stamtąd garść wspomnień. Mewy tylko latają nad rozbitym okrętem. Ryby pływają wokoło ciężkiej, kowanej skrzyni. Woda powoli przedostaje się do wewnątrz. W tej skrzyni mieszczą się dni jasne i słoneczne, zapakowane na daleką drogę."

KRUK

Kruk przyleciał i kłamał, że pomarli moi najbliżsi i że w domu nie ma nikogo. Kruk zniknął, a czarny cień jego skrzydeł jeszcze długo włóczył się po pustyni.

GWIAZDA ZARANNA

Przed świtem ukazała się Gwiazda Zaranna. Może Ona w kilka minut po moim świcie zabłyśnie nad Jasną Górą . . . — Gwiazda Zaranna—Pocieszycielka Strapionych—Królowa Polskiej Korony . . .

OPHINCHUS

Nad głową czarnoksiężnika Ophinchusa przeleciała wielka, czerwona rakieta i długo świeciła nad ziemią. Wiedząc, iż zła to wróżba, Ophinchus, stary zaklinacz węży, zakrył się chmurami i wichrem zadął we flet czarodziejski . . . Artyleria zaczęła strzelać.

HARMONIA SFER

Gdy Harmonia Sfer cichnie na chwilę, słychać dziewiąty, nowy ton nieśmiertelnej gamy: warkot silnika wśród ciszy międzyplanetarnej.

CANES VENATICI

Wśród pól minowych, po omacku szukając min i węsząc ślady wroga posuwał się patrol.

CENTAUR

Centaur wychylił się zza południowego wzgórza. Pół-człowiek, pół-zwierzę — dziecko baśni greckiej. Przypominam sobie, jak ktoś mi kiedyś mówił, że w zwierzętach jest coś ludzkiego, a w ludziach coś zwierzęcego, coś z bestii.

BOOTES

Bootes, wieśniak grecki, swój pług pracowity postawił a sam usiadł na miedzy. Z góry spogląda i dziwi się, dlaczego ta ziemia niezaorana, dlaczego jej nikt nie nawodni, dlaczego schną niepodlewane gaje w wąwozach. I dziwi się wytrwałości Wielkiego Żniwiarza, co na tym pustkowiu przez cały rok zbiera soczyste kłosy życia.

DELFIN

Konstelację pogańskiego wybawcy Oriona nazwano trumną Joba. Trumna Joba to symbol śmierci patriarchalnej, która jest przejściem, wśród błogosławieństw synów i wnuków, z zacisznego pokoju do Pokoju Wiecznego.

LIRA ORFEUSZA

Orfeusz zstąpił do piekieł szukać swej najmilejszej. Gdy przepływał przez Rzekę Zapomnienia, czar rzeki był tak silny, że lirę zostawił na brzegu. Wszystko mu uszło z pamięci. Nie zapomniał tylko imienia ukochanej. Błąka się nieszczęsny po Piekłach i znaleźć jej nie może. Nie może wpław przebyć Styksu a liry nie ma. Nie ma czym obłaskawić bestyj. Śmieją się Moce Podziemne. Szatan Lirę na niebie zawiesił a wiatr pustynny nie umie grać na niej. Orfeusz błąka się po piekle. Lira zapomniana. Nie ma Eurydyki.

KORONA PÓŁNOCY

Pod sklepieniem nieba wisi wspaniała korona . . . Nie królewskie to godło. Nie symbol władzy otaczający skroń namaszczoną . . . To cudowny, ślubny wieniec zapomnianej, opuszczonej Ariadny. To dar miłości bożka Dionizosa, ofiarowany jej dla upamiętnienia rozkoszy, co się przedłuża w nieśmiertelność.

ALGOL—OKO DEMONA

Przez dziurę dachu z desek patrzało na mnie Oko Demona. Zasłoniłem dziurę szmatą. Na wietrze szmata się porwała, rozdarła się na dwie połowy, jak kiedyś zasłona w świątyni.

PERSEUSZ I ANDROMEDA

Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą, ale są bardzo dalekie. Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna. W zenicie tylko objęła się para zakochanych: Perseusz i Andromeda.

AURIGA

Auriga, gwiazda pasterska, czuwa nad spokojem wełnianych chmurek śpiących naokoło księżyca. — Gdzież pójdę teraz szukać mojej zaginionej owieczki.

COMA BERENICE

Pukiel włosów królowej egipskiej zawiesiła prastara legenda na firmamencie nieba. Legenda ta wybawiła od śmierci swego twórcę. Jaśnieją na niebie włosy, ofiarowane bogom, jako wotum wdzięczności w świątyni aleksandryjskiej.

Moja dziewczyna ma także jasne, błyszczące włosy, lecz bardzo by się zdziwiła, gdybym jej powiedział kiedykolwiek, że włosy jej lśnią, jak Coma Berenice . . .

ŚMIERĆ HERKULESA

/Herkules w kolumnie transportowej/

Od początku swoich wędrówek po niebie i ziemi, nigdy się Herkules więcej nie namęczył. W hełmie na głowie, w ubraniu pobrudzonym oliwą nosił olbrzym bez przerwy ciężkie bańki z benzyną i wodniki. Zrzucał z samochodów i załadowywał ciężkie drewniane skrzynie. Pot lał mu się z czoła w szerokie, gwieździste noce, rozświetlone czerwienią rakiet. Królestwo Piekieł wyrzucało z ziemi ogień zmieszany z ostrymi, ciężkimi kawałkami żelaza. Dobre opiekuńcze duchy świszcząc, ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Wicher nagły i ognisty miał siłę przewalającą wszystko. Nad horyzontem, na wzgórzu, którego nazwy nie pamiętam, lecz napewno nie było to wzgórze Oeta, stał stos puszek napełnionych benzyną. Iskry fruwały w powietrzu warcząc.

Herkules wszedł na wierzchołek stosu. Żołnierze — robotnicy przypatrywali mu się z dala. Ktoś cichym głosem przypomniał /niepotrzebnie zupełnie mówił o tym/, jak Herkules prządł nici u stóp prześlicznej Omfale. Dosłyszał Tytan niedomówiony szept. Rzucił kawałek rozpalonego żelaza między puszki z benzyną. Twarz, dobrotliwa, szeroka twarz olbrzyma znikła w kłębowiskach dymu. Jeden z żołnierzy — robotników, imieniem Filoklet, płakał, bo Herkules zapomniał mu dać kołczan, ów legendarny kołczan pełen zatrutych strzał.

KASJOPEA

Dwie gwiazdy lśnią najpiękniej pośród klejnotów królowej Kasjopei: Sehedir i Kaph. Arabowie mówią, że Sehedir znaczy serce a Kaph malowaną rękę . . . serce, zapiaszczone serce i rękę, rękę wzorzyście malowaną krwią.

STRZAŁA

Tej strzały nie puścił swawolny Kupidyn. To jest zabłąkana strzała dla nieznanego żołnierza.

ORION

Patrzeliśmy razem, przyjacielu, na Miecz Oriona, potężny miecz, wiszący nad światem. A teraz jesteś na Tamtym Świecie. Wzrokiem spokojnym spoglądasz stamtąd na Krzyż Oriona—świetlany symbol zwycięstwa nad śmiercią.

SIEDEM SIÓSTR

Na firmamencie, jak pociecha, jak umocnienie w wierze, że nie wszystko jest podłe i nikczemne, ukazuje się Siedem Sióstr. Są to dusze siedmiu dobrych Sióstr Miłosierdzia, co zginęły od bomb. Płaczą nad każdym umarłym. Modlą się nad każdą świeżą mogiłą. Pocieszają kaleki i rannych. Jeszcze zostało nam coś, za co warto się bić, dlaczego warto ginąć . . . Zostało nam Siedem Sióstr, troskliwie schylonych na nieboskłonie.

WILK

Zabłąkał się na niebie Wilk, choć tutaj wilków nie ma. Ślepia na mnie wyszczerza świecące. Wraca mi strach dziecinny z opowiadań o jarzących się wilczych oczach i o ludziach zaklętych w wilki, o upiornych wilkołakach.

ZAJĄC

Nad samym horyzontem, w zaroślach nad brzegiem Eridanu, Zając się ukrył lękliwie przed wzrokiem myśliwych. Przede mną się nie chowa, bo wie, że nie jestem myśliwym i nie zrobię mu nic złego. Wie, że lubię się przyglądać jego łagodnym ślepkom. Przypomina mi tego zająca, który za dawnych, dawnych lat przynosił mi, w rozsłoneczniony poranek wielkanocny, tekturowe, malowane jajko napełnione łakociami. Nie widziałem go nigdy, bo wkładał mi je do buta, kiedy jeszcze spałem, ale matka opowiadała mi dużo o tym poczciwym zwierzątku.

ASELLI

Bardzo lubię patrzeć na te dwie prawie niedostrzegalne gwiazdki, na dusze zaklęte dwóch pobożnych osiołków klęczących przed świętym Żłóbkiem.

WIELKA NIEDŹWIEDZICA

Wielka Niedźwiedzica układa się do snu zimowego. Naznosiła sobie do nory mnóstwo puszystych, miękkich mgławic. Czuje się bardzo senna.

Dochodzi mnie miarowy odgłos kroków wartownika. Słyszę, ktoś człapie od zachodu i niebo zasuwa na rygiel. Wielka Niedźwiedzica karmi małą w ciepłej, mgławicami wymoszczonej norze.

W półśnie z daleka chwytam uchem jakieś szczekanie. Poznaję po głosie mego wiernego, Wielkiego Psa, który strzeże teraz mego opustoszałego domostwa.

PEGAZ

Usłyszałem tętent za horyzontem. To rycerze pewno jadą niebem, na mieczach niosąc wojnę. Znowu cisza . . . Przez firmament przeleciał Pegaz — skrzydlaty koń bez jeźdźca — znak wojny.

PTAKI

Powróciły Ptaki z daleka. Nie widziałem ich tak dawno. Przyleciał niemy Łabędź i Orzeł. Dziób Żurawia już widzę na niebie. Będą teraz przy mnie, będą przez czas niedługi. Wkrótce pofruną z powrotem, z powrotem skąd przyleciały, skąd ja przywlokłem się tutaj. Chciałbym polecieć z nimi. Chciałbym mieć orle skrzydła, pływać tak chyżo, jak łabędź i lot mieć podróżny żurawia.

OKRĘT

Na południowej części nieba widzę wydęty żagiel Okrętu, zwiastujący mi podróż daleką, daleką morską wyprawę.

POST SCRIPTUM

Było wiele, wiele znaków na niebie, których nie mogłem zrozumieć. Patrzałem na nie z ufnością, lub czasem z przerażeniem. Może to dusze kolegów jako gwiazdy błyszczały na niebie. Nie byłem ich w stanie rozróżnić oczyma lornetki polowej.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

WIERSZE WIGILIJNE

IMIĘ TEJ WOJNY

Nazwijcie ją jak chcecie, Straszną czy Obłędną,
Wojną Maszyn, Narodów czy Ras. Wszystko jedno,
Gdyż mam już dla niej imię, co z każdą godziną
Potwierdza się w tęsknocie: to Wojną z rodziną . . .

SAMOTNIK

Bóg w Trójcy swej rodzinny, sprzyja ludzkim gniazdom.
Raczej, niż o narodach, mówi o Rodzinie—
Szatan jej nienawidzi—zdeptać chciałby każdą.
—Posępny, jak zły poeta,
O "wielkości" rozprawia z ciemną swoją gwiazdą . . .

ŻYCZENIA . . .

Więc już nie teraz, ale wiosną albo latem,
Nie sankami do domu, nie pod białe strzechy!
Raz jeszcze ten zamglony podzielmy opłatek,
Z uporem powtarzając coroczne pociechy:
"Na Wielkanoc!—Najpóźniej—na Zielone Święta!"

GWIAZDA ODKRYTA W 42 ROKU

Zapomną, Stary Roku, żeś zabijał, głodził,
Ale pamiętać będą, żeś gwiazdę urodził;
Widać ją wcześnie rano. Z wieczności wykłuta,
Migocąca świeżością wśród burzy,
Gwiazdo, imieniem "Nova," jakież wieści wróżysz?

W ŚWIĘTO RODZINY . . .

O Refugiés niebiescy, godni dziś zazdrości,
Nierozłączni w swej gwiezdnie wyzłacanej szopce!
Posłuchajcie kantyczki, którą Wojna niesie:
"Maria martwozrodzone opłakuje dziecię,
Józef odchodzi, w mroźne pognany zaświecie,
Betleem płonie
I reflektory w chmurnym wędrują bezkresie . . ."

CHRISTMAS CARDS . . .

Angielko zacnego serca, która na bliskie już święta
Wybierasz powinszowania urzeczona nimi—zaklęta,
Gdyż barwne są i dziecinne—śniegiem błyszczące, gwiaździste,
Czy wiesz, że ja do rodziny od lat już nie piszę na "Christmas"
Chociaż ją kocham nad życie, choć o niej bardzo pamiętam . . .
Zdumiona, słuchasz, Angielko—i łza u rzęs twoich cięży . . .
—Wesołe są wasze "greetings," niedoścignione w pomysłach,
Lecz ich nie wyślesz do Polski, jak ich nie wyślesz na księżyc . . .

MARIA PAWLIKOWSKA

TU JEST POLSKA

OSOBY:

ANNA ŻARNOWSKA
JAN ŻARNOWSKI
KOŁYŃSKI, ojciec Anny
WOJTEK, brat Anny
ZYGAR
ZYGAROWA
MARCINEK, syn Zygarów
ŁUŻANKA
WANDA, córka Łużanki
MARIA JACKOWSKA
ANTONI
1, 2, 3, 4, 5, 6—Männer
1, 2—SS-Männer
PUŁKOWNIK FLICKE
KAPITAN
PORUCZNIK OTTO WOHLFAHRT
PORUCZNIK
ADIUTANT
KAPRAL GRASSER
ŻOŁNIERZ
DWAJ MĘŻCZYŹNI

/Rzecz dzieje się w polskim mieście prowincjonalnym pod okupacją niemiecką/

AKT I.

Pokój, który był kiedyś jadalnią. Teraz tylko kredens i duży stół świadczą o jego pierwotnym przeznaczeniu. Wzdłuż ścian ustawiono trzy łóżka. Plecaki, kuferki, toboły ułożone w jakim takim ładzie, są dobytkiem uchodźców.

ANNA krząta się nerwowo, nie mogąc dłużej wytrwać przy żadnym zajęciu. Otwiera kredens i coś w nim przesuwa, ustawia. Potem idzie do małego stolika pod oknem i wyjmuje z szuflady jakieś szycie, aby je co rychlej odłożyć z powrotem. Podchodzi wreszcie do stołu, nad którym pali się lampa pod dużym kloszem. ANNA siada i usiłuje czytać, ale i książka nie może zatrzymać jej uwagi.

Dzwonek w przedpokoju. ANNA drgnęła i jakby zastanawia się: otworzyć —nie otworzyć? Idzie jednak do drzwi. Za chwilę wraca z ŁUŻANKĄ.

ANNA /wskazuje mu krzesło, żeby usiadł/.

ŁUŻANKA: Szczelne u was okiennice. Ani promyka światła nie przepuszczają. I tak wcześnie robicie noc. Na dworze prawie jasno. Śliczna pogoda.

ANNA /zdawkowo/: Tak, pogoda piękna.

ŁUŻANKA /kontynuując/: Z powodu tych zamkniętych okiennic dom robi wrażenie niezamieszkanego. Można powiedzieć—niemiłe wrażenie. Ale ja wiedziałem, że panią zastanę.

ANNA: Wiedział pan?

ŁUŻANKA: Dawniej o tej porze pani Anna zawsze na jakimś zebraniu. Wiadomo—pani Anna w pięciu, czy nawet więcej organizacjach. Plaga społecznej pracy. /Śmieje się./ Każdy musiał należeć do jakiejś organizacji. Prezesi, wiceprezesi—ambicje, zasługiwanie się—odznaczania, wyróżnienia. Prawda? Teraz wszystko ustało—i cóż? Domu trzeba pilnować. Pani sama?

ANNA /czujnie/: Sama, jak pan widzi. Ojciec na bridżu u Jackowskich. Lokatorzy, gdzie komu wypadło. Brat u kolegi.

ŁUŻANKA: U kolegi — — U mnie to samo. Moi chłopcy gdzieś ciągle poza domem. Tak, tak. Dzieci nasze napróżnują się za całe życie. Ale od września mają otworzyć szkoły.

ANNA: Podobno. Z nowym programem. Szkoły średnie mają być wyłącznie zawodowe. Bo po co Polakom inteligencja? Uczonych, profesorów wytrzebili.

ŁUŻANKA: A ja mówię: dobrze, że dzieci pójdą wreszcie do szkoły. Bezczynność demoralizuje. Inteligencja — prawda — ucierpiała. Ale można i tak sobie wyperswadować, że przerost inteligencji nie jest zdrowy dla struktury społecznej. Nauczymy się pracować w innych dziedzinach.

ANNA: Według pana—szkoła dla wszystkich. Uczą nas, wychowują. Oni!

ŁUŻANKA /wymijająco/: Zrazu nie będzie łatwo naszym dzieciom. Wziąłem korepetytora, żeby przez lato poduczyli się niemieckiego. Może i braciszek pani przyłączy się. Będzie taniej kosztowało.

ANNA: Dziękuję. Wojtek już się uczy. Mamy przecież w domu uchodźców ze Śląska.

ŁUŻANKA: Prawda, że u państwa ci Ślązacy. Ciasno teraz u was.

ANNA: Jakoś się mieścimy.

ŁUŻANKA: Rozumiem, ale lepiej byłoby, gdyby tu nie mieszkali. /Ciszej/ Coś już do nich mają, do tych Zygarów.

ANNA: Proszę pana, do kogoż oni "nie mają"! Wszyscy jesteśmy podejrzani, jak nie dziś, to jutro, to już za godzinę! A Zygarowie Ślązacy. Wystarczy.

ŁUŻANKA: Należy się wystrzegać przesady. Spokojnych zostawiają w spokoju. Ojciec pani, jak przedtem, na swojej buchalterce w browarze. Ja tak samo, na tym samym krześle, przy tym samym biurku w banku.

ANNA: Mówiliśmy o Zygarach.

ŁUŻANKA: Właśnie. Lepiej było by, gdyby się od was wyprowadzili. Pani nie chciała posłuchać mojej rady, żeby kogoś —z nich na kwaterę. U mnie mieszka komendant miejscowego Gestapo i doprawdy nie mogę narzekać. Przylgnął do nas jak do rodziny. Przysługi, prezenty.

ANNA: Co kto lubi. Ja szczęśliwa jestem, że mnie ominął taki przyrost rodziny.

ŁUŻANKA: Pochlebiam sobie, że to poniekąd moja zasługa. Robiłem co mogłem i dzięki dobrym stosunkom z moim Niemcem udało mi się to, że wam nikogo nie dali. Pani wie przecież, że dla was—za wszystko dobre, którego od was zaznałem — — Umiem być wdzięczny. Ale z przyjaźni radziłem—przyjąć Niemca. Pani się uparła.

ANNA: Uparłam się. Widziałam przecież, jak to jest. Nie daleko szukać w najbliższym sąsiedztwie, u Wilkońskich. Cała rodzina zepchnięta do małego pokoiku. Dywany, obrazy, srebro, kryształy, porcelana w pięknych nowiutkich pakach pojechały na zachód. Wilkońscy muszą milczeć, bo syn w obozie jeńców, bo lokator—figura.

ŁUŻANKA: Nie przeczę, że Wilkońscy mają kłopot z lokatorem. Ale sami sobie winni. Stawiali się. Wilkoński zawsze był taki. Butny, arogancki. I wobec swoich nie inaczej. Siedzieliśmy przy jednym biurku w banku. Tak—naprzeciw siebie. Znam tę naturę na wylot. Ani wyrozumienia, ani uległości.

ANNA: Wilkoński—butny. Ale o Mireckim nie można tego powiedzieć. Uległe dał się wyrzucić z mieszkania. Uległe, cichutko tuła się z rodziną i przymiera głodem.

ŁUŻANKA: Przyznaję, że Mireckim stała się krzywda, ale któż to twierdzi, że warunki są normalne. To okupacja—proszę pani. To—wojna. Pobito nas. Musimy cierpieć. Powiem inaczej: musimy się starać jak najmniej cierpieć.

ANNA: Prawie zgadzam się z panem. Ale tylko w tym jednym, że musimy się starać . . .

ŁUŻANKA /gest zniecierpliwienia/: Ja nie o tym. Z czym innym tu przyszedłem. Z ostrzeżeniem.

ANNA: Słucham.

ŁUŻANKA /prawie szeptem/: Radzę mieć się na baczności. Za dużo ludzi u was bywa. Swoich—tutejszych, obcych.

ANNA: Obcych?

ŁUŻANKA: Powtarzam to, co obiło się o moje uszy.

ANNA: Informacje kłamliwe. Nikt obcy u nas nie bywa. A zresztą—co to znaczy: obcy?

ŁUŻANKA: Proszę nie udawać, że pani nie rozumie.

ANNA: Rozumiem. Obcy jest właśnie uprzejmy lokator pana. Takich u mnie nie ma.

ŁUŻANKA: Pani jest złośliwa, ale mnie to nie uraża. Przyszedłem jak przyjaciel w dobrej, życzliwej myśli. Przecież narażam się—pani to chyba uzna, że się narażam.

ANNA: Uznaję i jestem zobowiązana. Tylko nie wiem, co począć z pana ostrzeżeniem.

ŁUŻANKA: To pani sprawa. Choćby takie zamykanie okiennic prawie za dnia—czy to rozsądne? Czasy są niebezpieczne.

ANNA /ironicznie/: Właśnie dlatego, że czasy niebezpieczne—zamykam wcześnie okiennice.

ŁUŻANKA /dobrotliwie, po ojcowsku/: Kobieto, kobieto! Z kim chce się pani zmierzyć? Z—nimi? To śmieszne, to dziecinne. Moja córka—jej się nie dziwię, bo ma piętnaście lat—moja Wandeczka także: A na złość, a figla spłatać! I tu przydałaby się męska rozwaga. Szkoda, że mąż pani . . . Przepraszam. Dotknąłem rany . . . Żadnej wiadomości?

ANNA: Żadnej.

ŁUŻANKA: Przez Czerwony Krzyż próbowała Pani? Jeżeli jest tam—w Anglii to i tak nie dowie się pani.

ANNA /twardo/: Nie dowiaduję się.

ŁUŻANKA: Ach, droga pani—kiedy pomyślę, gdzie ta wzburzona fala zaniosła naszych! Rozpierzchli się na wszystkie strony świata. Tułaczka, poniewierka. I mówią, że biją się dzielnie. Biją się—to znaczy, że i giną. Znowu powiedziałem coś, co rozdrapuje rany. Przepraszam.

ANNA: Niech się pan nie krępuje. Ja jestem spokojna.

ŁUŻANKA: Nie wierzę, ale jestem pełen podziwu. Dla pani, dla innych. Nie wiedzieć nic o swoich najbliższych—to męka i ból. Moim zdaniem trzeba było zostać tu, na miejscu. Warować. Strzec swoich domów i mienia. A rzucać to wszystko, i samym na poniewierkę, na zatracenie . . .

ANNA: Nie podejmę dyskusji na ten temat. Zresztą my—zostaliśmy.

ŁUŻANKA: Tak, my zostaliśmy. Tylko, że są tacy, którzy i tu na miejscu nie tak, jak trzeba . . . Potem cierpią wszyscy.

ANNA: Nie wszyscy. Pan nie cierpi przecież za winy innych.

ŁUŻANKA: Nie spowiadałem się nigdy i nikomu z tego, co czuję. Kiedy stało się to nieszczęście, postanowiłem nie sprzeciwiać się złu. Strzec domu mego i mojej rodziny—oto wszystko.

ANNA: Wraca pan do porzuconego tematu. Więc powiem: jest nas tu pozostałych w kraju—miliony. Wszyscy nie mogli przecież emigrować i nie należało tego czynić. Tu jest Polska. Jesteśmy u siebie, we własnym kraju. I o tym właśnie trzeba pamiętać—że u siebie.

ŁUŻANKA: Pięknie to pani mówi. Tylko, że ja bez mrzonek, bez horoskopów, bez wróżb. Ja zwyczajnie. Tu jestem i nawet cień mój jest wyraźny.

ANNA: Cień? Pan roztoczył czujność i nad własnym cieniem? To już kunszt wyższego rzędu.

ŁUŻANKA: Radzę robić to samo. Myśleć realnie i nie ściągać nieszczęścia. Na swoich. Powiem nareszcie: ojciec pani jest na liście nowej serii zakładników.

ANNA /nie może ukryć wzburzenia/: Pan czytał?

ŁUŻANKA: Tak. Czy nareszcie pojęła pani niebezpieczeństwo? Niech by się—Boże broń—coś stało . . . Odpowiedzialność . . .

ANNA /głucho/: Wiem, */opanowując się/* w porządku.

ŁUŻANKA: Dałby Bóg, żeby było w porządku. Odchodzę. Spełniłem mój obowiązek, jak sądzę. A pani zrobi to, co zechce.

ANNA: Dziękuję panu, zawsze dotąd robiłam to, co sądziłam, że jest potrzebne. Nie wiem, czy dziś powinnam postępować inaczej.

ŁUŻANKA: Moim zdaniem należy dzisiaj inaczej. Rozważniej!

ANNA: O tak—rozważniej.

/Łużanka żegna się i odchodzi/.

/ANNA wyprowadza go i zamyka za nim na klucz nie tylko drzwi wejściowe, ale także i drzwi jadalni. Idzie potem ku prawej ścianie. Tam drzwi w tapecie. Gdy je Anna otwiera, widać półki zastawione słoikami, puszkami—jak w spiżarce. Ale i to są drzwi./

ANNA /otwiera je i mówi szeptem/: Nie śpisz? Nie? To wejdź.

JAN /ręka obandażowana/: Ojciec jeszcze nie wrócił?

ANNA: Jest u Jackowskich. Słuchaj—był u mnie Łużanka. Tylko co poszedł. Przyniósł wiadomość, że ojciec jest na nowej liście zakładników.

JAN: Już trzeci raz w tym roku.

ANNA: Trzeci. Biedny tato. Za pierwszym razem trzymał się dzielnie. Ale za drugim było już gorzej.

JAN: Tak—to wymaga mocnych nerwów.

ANNA: Biedny tato . . .

JAN: To znaczy—że muszę opuścić kryjówkę. Że trzeba mi stąd odejść.

ANNA: Ty?—dlaczego? Ręka jeszcze chora. I dokąd?

JAN: Sama wiesz, że nie powinienem tu zostać i narażać ojca.

ANNA: Któż to może przewidzieć, skąd grozi niebezpieczeństwo? Każdy zakładnik przez czternaście dni swojego "urzędowania" nie jest pewny dnia i godziny. Przecież oni sami, jeżeli chcą pozbyć się właśnie tej grupy ludzi, mają niezawodne sposoby. Więc właściwie wszystko jedno. Możesz zostać. Ojciec to zrozumie.

JAN: Słucham, jak prosto o tym mówisz, choć przeżywamy teraz jakby te książki kiedyś, dawno czytane. Nie lubiłem zbytnio tych Wyspiańskich i Żeromskich. Raziły mnie te jakieś konflikty i problemy. Maturalne tematy: "Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie . . ." I taki patos, tyle wielkich, głośnych słów.

ANNA: Wiem, nie byłeś wdzięcznym czytelnikiem. Nieraz gniewało mnie to.

JAN: Któż mógł przewidzieć, że tematy książkowe urzeczywistnią się na nas? Że trzeba będzie robić takie rzeczy. */Po chwili./* To tak, jakby stało się kimś innym. Siedzę tu, rozmawiam z tobą, moją żoną, a mimo to nie ma łączności psychicznej między mną dawnym a dzisiejszym.

ANNA: To, co teraz robisz, wynika z tego, co się dzieje. Ale przecież ty jesteś—ty, ten sam. Nie, nie trzeba się zagłębiać w te rozważania. W każdej chwili, a zwłaszcza w chwili tak ważnej, że aż ostatecznej, musimy robić to, co najpotrzebniejsze.

JAN: Zapewne. Tylko, że zmieniła się miara, zmieniła się skala tego, co najpotrzebniejsze. Mam trzydzieści dwa lata i szedłem dotąd swoją, wyznaczoną drogą. Studia, praca, miłość. W tym i walki i zdobywanie i radość i cierpienia. Nie należałem do ludzi, dla których zwyczajne życie jest mało ważne.

ANNA: Nie umniejszaj się. Byłeś ambitny w swojej pracy.

JAN: Więc tak. Moje małe wynalazki, uznanie przełożonych . . . I co tu dużo mówić—to, że ty byłaś w moim życiu.

ANNA: Byłam? Używasz czasu przeszłego.

JAN: I dziś jesteś—ty. Ale, czy mnie rozumiesz?—nie tak, jak dawniej. Był przecież i nasz dom i miały tu być kiedyś nasze dzieci.

ANNA: Janku—Janku! Rozejrzyj się—dom nasz jest! A teraz nawet, wbrew temu straszliwemu, co się dzieje, my tu—razem.

JAN: Ale jakże inaczej! Kochana—nie gniewaj się. Mówię to, co czuję, a nie lubię wielkich słów. Mógłbym teraz deklamować o sobie, że tułacz, że bezdomny. Byłyby to może określenia właściwe, ale jak dla mnie—zbyt patetyczne i rozżalające.

ANNA: Napewno, Janku. Ja także tylko najciszej, nawet przed sobą, myślę o twoim bohaterstwie.

JAN /prawie gniewnie/: Głupstwo! Takie słowo dziś, kiedy niemal wszyscy wyrastają ponad siebie! Mówiliśmy o ojcu—czy nie jest czymś w rodzaju bohatera? A Zygarowie? A Jackowscy? Kiedy bohaterów są miliony — nie ma bohatera.

ANNA: Chwilami wydaje mi się, że to, co robimy, jest rozproszone i nikłe. Bo to trzeba by—czy ja wiem?—gromu, jednego uderzenia. Tak—masz rację. I ja już nie jestem ta sama. Nie wiedziałam dawniej, co to nienawiść. Budzą mnie w nocy krwawe sny.

JAN: Nasze sny śpieszą się. Wyprzedzają wydarzenia. Nie można przecież bezczynnie znosić tego, co się dzieje. Walka z Niemcami, to walka z—potworami, nie z ludźmi.

ANNA: Raz szłam przez miasto. Wiesz jak to jest—jeden chodnik dla nas, drugi dla nich. Więc po ich chodniku kroczył młodzieniec—w mundurze, dziarsko. Miał gładką, dziecinną twarz, jasne, wesołe oczy. Zdawało by się—chłopiec, młody chłopiec. Aż tu na "jego" chodniku—stara kobieta. Nie wiedziała pewnie, że nie wolno. Chciała minąć i robiła to jakoś niezręcznie—w prawo, w lewo. Młody, śliczny chłopiec pchnął staruszkę. Upadła, więc ją jeszcze kopnął.

JAN: Ten młody chłopak ma tylko ludzkie pozory. Potrąca stare kobiety, bije starców, tratuje dzieci. Rabuje, morduje. Setki zbrodni ma na sumieniu taki chłopaczek i dlatego nie ma prawa żyć. Zginie.

ANNA: Ci ludzie—te potwory—jak mówisz, mają matki. Ktoś ich kocha i trwoży się o nich.

JAN: Nie będziemy litować się nad niemieckimi matkami. Nie zobaczą już swoich synów-zbrodniarzy. To, co się stanie, to, co się już dzieje—to nie jest ani zemsta, ani odwet. To kara. Osądzeni i skazani. Mówisz, że nasza robota jest rozproszona i nikła. Poczekaj trochę, a zobaczysz jej zbiorową siłę. Potem zsumujemy te czyny. Wszystkie. Tak, jak zsumujemy ich zbrodnie. Krąg się zamknie.

ANNA: Tak—zamknie się. Już się zamyka. Rozumiem, ale trudno mi pojąć tę straszliwość. Biedny ojciec. I jego zamknął ten krąg. Udaje pogodnego. Czasem aż razi mnie jego jowialność. Nigdy takim nie był. A teraz anegdotki i żarciki. A że to wszystko nieszczere, więc i niezgrabne i naiwne.

JAN: Ojciec także usiłuje domierzyć się do chwili, żeby jej jakoś podołać. Jego wesołkowatość to jakby wysiłek woli.

ANNA: Na jak długo mu jej starczy? Teraz te wydarzenia w okolicy. Obóz w Oświęcimiu jest przepełniony.

JAN: Nam nie wolno myśleć o skutkach. Może się coś takiego zdarzyć . . . Nie, nie będę miał żalu do ciebie, jeżeli mi nigdy tego nie wybaczysz.

ANNA: Zaczekaj, nie mów nic więcej! Pozwól mi trochę zastanowić się, trochę przyzwyczaić się do tych myśli o tobie, ojcu, o nas.

JAN: Przyzwyczaić? Groza wpływa falą w nasze serca. A ta fala—nie drwij ze mnie, że wyrażam się tak obrazowo—ta fala wypiera z serca wszystko dawne. Dawne uczucia nasze są już tylko, jak cenne bibeloty. Nasze serca pęcznieją teraz z bólu i nienawiści. A to wszystko razem—to jednak tylko miłość. Straszliwa, rozdzierająca miłość dla jedynej i wyłącznej sprawy.

ANNA: Ty już nie tylko to rozumiesz, ale i potrafisz. A ja, ja jeszcze trochę przy tych dawnych drobiazgach uczuciowych. Ty, ojciec—wasze bezpieczeństwo, wasze życie. Nie umiem i nie chcę wyzbyć się tego. Musiałabym was przestać kochać. Tak jak ty—mnie.

JAN: Czy mamy się sprzeczać o naszą miłość, Anno? Kiedyś takie licytacje uczuć były cudowną grą miłosną. Dziś—jakże ciebie przekonać, że chciałbym, aby kiedyś na nowo zaczęła się ta gra. Czy naprawdę nie wiesz o tym, że jesteś jedynym człowiekiem, którego zatrzymałem w myślach, w pamięci? Jeżeli mnie kiedy nachodzą paroksyzmy tęsknoty, to tylko za tobą. Zawsze jesteś blisko. Nie muszę cię szukać, bo widzę cię przy sobie.

ANNA /tuląc się do Jana/: Ja to wiem —wiem . . .

JAN: Czekaliśmy raz przy torze kolejowym. Noc była ciemna i dżdżysta. W rowie, gdzie staliśmy, stwardniały śnieg tajał i umykał nam spod podeszew. Zdawało by się, że w taką obrzydliwą noc nie powinnaś przyjść do mnie. A jednak, kiedy tylko pomyślałem o tobie—przyszłaś. Miałaś na sobie suknię nieodpowiednią na taką pogodę, bo tę wieczorową, błękitną, w której byłaś na ostatnich przed wojną imieninach Maryli Jackowskiej.

ANNA: Widzisz—przyszłam. I tak będzie zawsze. Tylko mnie przywołuj, przywołuj . . .

JAN: Ale ja odpędziłem wtedy ciebie brutalnymi słowami. Pociąg nadjeżdżał. Trzeba było wypełnić robotę. Okrutną, wojenną robotę.

ANNA /powtarza/: Okrutną, wojenną . . .

/Dzwonek/

JAN /cofa się szybko do swojej kryjówki/

/Teraz dzwonek dwukrotny/

ANNA: To ojciec! Pomylił się i najpierw zadzwonił tylko jeden raz. Zaraz mu otworzę. Możesz zostać.

/Ale Jan już nie słyszy tego, co mówi Anna, która wychodzi i po chwili wraca z ojcem/.

Elżbieta Horodyńska: Kolędnicy



KOŁYŃSKI: Jaśminy tak pachną, jakgdyby im ktoś za to płacił.

ANNA: Zrobić herbatę?

KOŁYŃSKI: Dziękuję ci. Piłem u Jackowskich. Dali mi tu coś dla ciebie.

/Kładzie paczkę na stole/.

ANNA /rozwija paczkę/: Masło! Skąd dostali? Zaraz posmaruję chleb dla Janka i Wojtka. Wojtka muszę za godzinę zluzować. Siedzi w ogrodzie już dość długo.

KOŁYŃSKI: A mały Zygar gdzie?

ANNA: Nie wiem. Powinni już tu być i Marcinek i jego ojciec.

KOŁYŃSKI: Dla Zygarowej jest gotowa paczka u Jackowskich. Ważne wiadomości. Zawołaj Jana.

ANNA /otwiera kryjówkę/: Janku—ojciec z nowinami.

/Jan wchodzi/

KOŁYŃSKI: Dziś Niemcy rozpoczęły wojnę z Rosją.

ANNA: Co? Dziś? Już?

KOŁYŃSKI: Prawda, że pierwszorzędna nowina? Bez wypowiedzenia, według swego obyczaju.

JAN: Nowina ważna.

KOŁYŃSKI: Pieski gestapowe latają po mieście jak z pieprzem. A w mieście ulice puste, ani żywej duszy. Ludzie zamknęli się w swoich mieszkaniach i pewnie tak samo szepcą, jak my. To znaczy krzyczą na cały głos: wojna, nowa wojna! Wojna w wojnie!

JAN: Nie należy krzyczeć. Jeszcze nie.

KOŁYŃSKI: Już ty mi nie mów! Zobaczysz, jakie z tego wynikną historie. Anglia pójdzie z Rosją. A my—zobaczysz! Inna konfiguracja—zobaczysz!

JAN: Nie zabieram głosu. Mam swój zakres pracy i swoich rozkazodawców. A te wielkie sprawy—nie do mnie należą. W Londynie jest nasz Rząd i nasz Naczelny Wódz. Tyle wiem, że nic dotąd nie ustało w akcji i że tak będzie dalej. Sprawa polska mą swój dalszy bieg.

KOŁYŃSKI: Powiedz po prostu: dobra jest!

ANNA: Że też Łużanka nic mi o tym nie mówił. Zawsze się chwali, że ma wiadomości z pierwszej ręki.

KOŁYŃSKI: Łużanka tu był? No—to już wiesz i to—o mnie.

ANNA: Wiem, tatusiu.

KOŁYŃSKI: Uwzięli się—i trzeci raz mnie wyznaczają. A teraz akuratnie gorący czas. No, Bóg łaskaw, dzieci. A choćby inaczej . . . Nie jestem sam. Dwudziestu nas. I Jackowski także.

ANNA: I Jackowski?

KOŁYŃSKI: Czekaj, gdzieś tu mam listę. O—jest. A zbójców było aż dwudziestu. Choć ani brody długie, ani kręcone wąsiska. Nie—jest i kilku z brodami, jako że są i Żydzi. Jackowski mówił mi, że onegdaj za Gajówką znowu dwóch Żydów powiesili. A wiesz, co się stało z Zosią Wilkońską? To, to wiesz, że przed dwoma tygodniami gdzieś znikła. Wczoraj rano wróciła—pokaleczona, nieprzytomna. Leży w szpitalu w agonii.

ANNA: Boże, Boże! Ta śliczna, miła Zosia! */płacze krótko/.*

KOŁYŃSKI: To jeszcze nie wszystko. Mają we wrześniu otworzyć szkoły, więc już trzech nauczycieli wywieźli do obozu. Taki sposób redukowania personelu.

JAN: Mówi się: "Miarka się przebrała." Ta miarka już dawno przebrana, a oni ciągle bezkarni. Teraz wojna z Rosją. Nasuwają się analogie. Czy jednak armię niemiecką spotka los napoleońskiej? Mamy koniec czerwca. Do zimy jeszcze kilka miesięcy.

KOŁYŃSKI: Analogie bywają zawodne. Ale Jackowski—ma inny rachunek. Oto Hitler rzucil się na Rosję nie ze świeżymi silami, jak na nas, na Francję. Dwadzieścia dwa miesiące wojny ma za sobą. Ale nie same tylko zwycięstwa. Bo klęskę lotniczą. Nie dał rady Anglii w powietrzu. Więc według Jackowskiego—może Hitler zrazu iść naprzód, ale na ostatku załamie się. Wyczerpie się. I cóż myślisz? Że podbite narody nie zaczną go szarpać? Historia wskazuje, że podbite narody to na dobrą sprawę—kłopot. Będą Niemcy miały kłopot z nami i z tymi innymi. Już mają kłopot. Nie?

JAN: Tak—tak. Ale, Boże, daj bić się z nimi. Daj, żebyśmy jako żołnierze, z bronią w ręku!

KOŁYŃSKI: Amen!

/Pukanie do okiennicy w trzech rytmach/.

ANNA: Boże—to Wojtek!

/Pośpiech na scenie. Jan za ukryte w tapecie drzwi/.

JAN /mówi szybko/: Wiesz—Leśniczówka na 29-ym. Tam mnie znajdziesz.

ANNA: Jeżeli nie mają psa, Jan bezpieczny.

KOŁYŃSKI /zapala papierosa. Ręce mu się trzęsą/.

/Wchodzi Wojtek, 14-o letni chłopiec/.

WOJTEK: Nie wiem napewno, czy tu idą. Jest ich chyba ze sześciu. A Janek już za ogrodzeniem. Pomogłem mu. Deska zasunięta do niepoznaki.

KOŁYŃSKI: To w związku z tą wojną. Teraz nie będzie końca rewizjom, łapankom. Łotry, jadowite bestie!

ANNA: Cicho, spokojnie, tatusiu . . .

KOŁYŃSKI: Mogę spokojnie, jeżeli chcesz.

WOJTEK /kładzie się na jednym z łóżek/: A Marcinka gdzieś poniosło. Już czas policyjny. Jeszcze wpadnie, szczeniak. Gdybyście wiedzieli, co ten chłopak . . .

/Ostry dzwonek/

KOŁYŃSKI: Ja otworzę.

/Wchodzi sześciu SS-Manów/.

PIERWSZY: Hände hoch! A ty wstań z łóżka, słyszysz!

DRUGI: Stanąć twarzą do ściany—tak. Nie ruszać się, bo kula w łeb!

/Dwaj SS-Mani zostają na straży. Rewolwery wyciągnięte w stronę stojących pod ścianą. Czterej zajęci rewizją./

TRZECI: Broń jest? No—Kameraden—szukać, szukać!

CZWARTY: Schau—sie fressen Butter! Żrą masło, opychają się. Konfiskujemy? Co?

TRZECI: Rozumie się. A książki, jakie czytają? */sylabizuje/* Carell: "Człowiek istota nieznana." Autor Francuz, Anglik, a już najpewniej—Żyd. Spalić to świństwo!

/Inni wyrzucają materace z łóżek, prują toboły, rozbijają kuferki, otwierają kredens, szuflady stołu. Opukiwanie ścian./

PIĄTY: Słyszysz? Tu inny dźwięk. Aha —drzwi w ścianie. */Otwiera drzwi w tapecie/.*

SZÓSTY: Może są tu jakieś specjały w tej tajnej spiżarce?

CZWARTY: Puste słoiki. Już zdążyli zjeść. Bydło żarłoczne.

TRZECI: No—tu zrobione. Teraz do innych pokojów. Tempo. Kameraden!

/Czterej SS-Mani wychodzą do przyległych pokojów/.

PIERWSZY /do Wojtka, który się poruszył/: No, ty—spokojnie. Naucz się, że trzeba spokojnie i posłusznie. To nasze pierwsze przykazanie dla was: spokojnie i posłusznie. My was tego prędko nauczymy. O, tym */gest rewolwerem/*. Boisz się, to słuchasz.

DRUGI: Nie ma dziś narodu na świecie, któryby się nas nie bał. Tyle zwycięstw —ciągle idziemy naprzód. Teraz na wschód i cała Europa nasza */wzdycha/*. Potem Azja, Afryka, Ameryka. Cały świat dla Niemców. A potem dopiero pokój na ziemi. Wielki, niemiecki pokój. Zdobywamy go wojną, jakiej jeszcze nie było. Zdobywamy go krwią, drogą, niemiecką krwią */wzdycha/*. Nasz Führer, jak Bóg urządzi ten nowy świat.

PIERWSZY: Dobrze jest być Niemcem. Szczęśliwy, kto się urodził Niemcem. Wszystkie inne narody są plugawe i nikczemne. Zmieszana krew, nieczysta. Będą nam służyć. A Polacy? Co powiesz o Polakach, Hans?

DRUGI: To samo, co i ty—że szczerzą na nas swoje spróchniałe zęby.

PIERWSZY /śmieje się/: Banditenvolk. Popatrz tylko na tych tu: stary mężczyzna, kobieta i chłopiec. Jak myślisz? Skoczyliby nam do gardła, co? A muszą tak tu stać. Muszą! Przyjemne jest to poczucie siły—nie? To tak, jakbyś butem zdeptał robaka. Krok—i już tylko miazga.

/Wchodzą SS-Mani z przyległych pokojów/.

TRZECI: Wy jeszcze do kuchni, do sionki, do piwnicy, na strych. Wiecie jak i gdzie?

CZWARTY: Wiemy. Znamy te wszystkie domy, jak własną kieszeń */wychodzą/.*

TRZECI: A okiennic nie wolno zamykać. W ogóle zdjąć je. Dom ma być jak latarnia, na wskroś przejrzysty. Zrozumiane? Jutro ani śladu okiennic! Proszę—chcą się odgrodzić! Może nawet tak, jak te łotry Anglicy mówią—"mój dom jest moją twierdzą." Nic z tego. Wasze domy—są nasze. Pozwalamy wam mieszkać w nich, ale możemy was każdej chwili z nich wyrzucić. Zrozumiane? No —można już stanąć twarzą do pokoju. Tak. Prędzej!

PIERWSZY: Tak—tak—i tak */odwraca Kołyńskiego, Annę, Wojtka. Czyni to w sposób brutalny/.*

TRZECI: Ilu ich tu mieszka? No—prędzej odpowiadać!

KOŁYŃSKI: Nas troje i tak samo jedna rodzina, złożona z trojga osób. Razem sześcioro.

TRZECI: A gdzie jest ta rodzina? O tej porze powinni być wszyscy w domu.

KOŁYŃSKI: On pracuje w fabryce maszyn. Chłopak—mały, trzynaście lat— */zacina się, nie wie, co powiedzieć/.*

WOJTEK /z pośpiesznym wyjaśnieniem/: Poszedł po ojca, wrócą razem.

TRZECI: A trzecia osoba?

KOŁYŃSKI: Na wsi. Pracuje na wsi. Często nie przychodzi na noc. Nocuje u gospodarza.

TRZECI: Dobrze. */Do Kołyńskiego/* Pan jest zakładnikiem od dzisiaj? */uderza go żartobliwie, ale dość mocno po karku/* Narazie głowa jeszcze się trzyma, ale wartość tylko ma zastawu. My szacujemy zastaw na 30% nominalnej wartości */śmieje się/.*

/Wchodzą dwaj SS-Mani/.

CZWARTY: Skończone. W komórce jest dużo drutu, łomu, kawałków żelaza. Co z tym zrobić?

TRZECI: Łomu, żelaza? Kto pozwolił?

KOŁYŃSKI: To jeszcze z budowy. Dom wykończony przed samą wojną i zostało. Niewiele tego.

TRZECI: Jutro odnieść do Sammelstelle. Żelazo! Jak śmiecie to trzymać u siebie? Powinienem zaraz spisać protokół, ale niech tam! Daruję tym razem.—No, Kameraden, idziemy. Heil Hitler! */groźnie/* Oddać pozdrowienie!

KOŁYŃSKI /opornie/: Heil Hitler . . .

TRZECI /wygrażając/: Czasu dziś nie mam, ale ja nauczyłbym was, polskie psy!

/Wychodzą. Chwila przygnębiającej ciszy/

WOJTEK /traci panowanie nad sobą i zaczyna pięściami bić w ścianę/.

ANNA: Wojtek, chłopcze, opanuj się! */szarpie się z nim/.* To na nic, tak nie trzeba . . .

KOŁYŃSKI: Zostaw go! Niech się wypieni, wyzłości. Gdybym się nie wstydził, zrobiłbym to samo.

WOJTEK: Ich trzeba pozabijać, pozabijać!

KOŁYŃSKI: Wykrzycz się, wykrzycz. Ale jeszcze mądrzej było by milczeć i pamiętać. Im to trzeba długo popamiętać. Tak długo, że aż na zawsze.

ANNA: A jeżeli naprawdę tak będzie, jak mówią—że opanują cały świat? Co wtedy? Jak wtedy żyć?

KOŁYŃSKI: Nie wiem. Mnie o to nie pytaj. Słyszałaś przecież—szacują moją głowę na 30% wartości. */Śmieje się cicho, niemal obłędnie/* Trzydzieści procent. Uczciwy szacunek. Powiedz to Janowi. Niech się mną nie krępuje. Bo tylko 30%.

ANNA: Tatusiu, tatusiu . . .

KOŁYŃSKI: Czegoś się tak przestraszyła? Nie rozumiesz się na żartach. Dawno to już zauważyłem, że nie masz poczucia humoru.

WOJTEK: Cicho! Strzelają!

/Słychać strzały rewolwerowe z ulicy i kroki biegnących/

KOŁYŃSKI: Coś się stało—tam!

ANNA: Boże, zmiłuj się nad Janem!

WOJTEK: Zobaczę! */chce wybiec/.*

KOŁYŃSKI: Ani się waż!

WOJTEK: Ja muszę! Może tam kogoś zabili—ja muszę!

/W tej chwili głos Zygara za drzwiami/: Otwórzcie, otwórzcie! */Wojtek otwiera pośpiesznie. Zygar niemal wpada do pokoju, niosąc na rękach Marcinka/.*

WOJTEK /krzycząc/: Ja wiedziałem—ja wiedziałem, że coś Marcinkowi!

ZYGAR: Położyć trzeba chłopca.

/Anna prędko porządkuje jedno z łóżek. Kładą Marcinka./

KOŁYŃSKI: Co się właściwie stało? Albo raczej—jak się to stało?

ZYGAR: Zwyczajnie. Szliśmy. Pora spóźniona, ale ja jako robotnik mam przepustkę. Marcinek—nie. Chcieli go wziąć z sobą. A chłopak—nura. Więc strzelali. Ot, tak—bez namysłu. Trafili. Zdaje się w ramię, a może jeszcze gorzej.

ANNA: Trzeba po lekarza */do Zygara/* Pan ma przepustkę, niech pan biegnie. Ja tymczasem sama opatrunek . . .

/Zygar wychodzi/.

WOJTEK /do Marcinka/: Nic nie mów, nie wolno ci teraz rozmawiać.

MARCINEK: Wolno. Mnie wszystko wolno.

ANNA: Zaraz zobaczymy. Krwi niewiele. To gdzieś tu.

MARCINEK /jęczy/: Tu—tu . . .

ANNA: Cicho, Marcinku, cicho. Zaraz przyjdzie doktor */do Kołyńskiego, tak, żeby Marcinek nie słyszał/:* To, zdaje się, w płuco . . Marcinku—Marcinku . . . Wody, Wojtek!

MARCINEK: Mnie wszystko wolno. Ja powiem—ja się nie boję . . . Pozdzierałem ogłoszenia—na całej ulicy . . . na murze —tam—koło ich komendy—napisałem wielkimi literami—napisałem—" Niech żyje Polska "—Jutro—rano—przeczytają . . . */omdlewa/.*

ANNA: Żeby już lekarz — — Omdlał—może nawet . . . */pochyla się nad Marcinkiem/* Marcinku—poczekaj—wytrzymaj — — — Nie—już nie — — — Boże!

WOJTEK: Ależ on się uśmiecha—on się przecież uśmiecha . . .

KOŁYŃSKI /surowo do Wojtka/: Nie dotykaj go! Już tylko tyle możesz zrobić dla Marcinka, że zmówisz pacierz. Klęknij—Módl się—Powtarzaj za mną: Boże Wiekuisty — ukarz, ukarz — — — Nie, nie tak. Boże Miłosierny—ulituj się nad nami . . .

/ZASŁONA/

HERMINIA NAGLEROWA

Szkic sytuacyjny

BILANS ROKU

Gdy z odległości roku usiłujemy spojrzeć na ubiegłe miesiące i wysnuć jakieś wnioski, pierwsze rozsądne pytanie będzie brzmiało tak oto: jakie zdobyliśmy zyski i ponieśliśmy straty w tym roku, jakie zadania zostały spełnione, a jakie czekają jeszcze spełnienia? Z odpowiedzi na te pytania wynika dopiero drugie pytanie: jaki przebieg wojna może mieć dalej, jakie są jej granice w czasie i przestrzeni?

Zyski nasze należy szacować w dwóch jakby działach czy grupach: zyski rzeczywiste i zyski niejako przez zaprzeczenie, uzyskane przez to, że wróg nie osiągnął tego, co zamierzał. Te zyski negatywne są niemniej ważne, aniżeli zyski "czyste."

Zyski negatywne wymienić można najłatwiej. Oto one:

1/ *Armia niemiecka nie zdołała rozbić wojsk sowieckich; ofensywy niemieckie nie uzyskały swoich celów* i zamierzeń ani pod Moskwą, ani pod Stalingradem, ani na Kaukazie. "Wehrmacht" wykrwawia się dalej w Rosji, a propaganda niemiecka mówi o Sowietach w tonie coraz to bardziej ostrożnym. Ostatnio "*Frankfurter Ztg.*" wspominała, że "*wojna z Sowietami to sprawa lat.*"

2/ *Luftwaffe utraciła przewagę lotniczą*: nie panuje już dzisiaj ani nad kontynentem Europy ani poza jego obszarem. Jest ona dalej silna w punktach koncentracji, jest zdolna do niebywale szybkich przestawień tych koncentracyj, ale *okres jej bezkarności minął.*

3/ *Niemieckie okręty podwodne, jakkolwiek zadały i zadają ustawicznie poważne straty naszej żegludze, nie uzyskały rozstrzygnięcia*, a wyścig między topieniem tonażu, a budową nowych jednostek coraz bardziej wygrywany jest przez *stocznie sojusznicze.*

4/ *Porażki państw osi przyniosły wyraźne osłabienie ich wpływów*, co odbija się zarówno na stanowisku krajów neutralnych—wyraźnie nabierających odwagi—jak i w stanowisku państw walczących /Japonia nie uderzyła dotychczas na Rosję/.

5/ *Ujarzmioną Europa nadal zachowuje postawę nienawiści wobec Niemiec, wobec niemieckiego "nowego ładu."* Próby te uznać należy dzisiaj za zbankrutowane. *Poczucie solidarności Europy ujarzmionej wzrasta. Ośrodki oporu zbrojnego mnożą się.*

Oto pięć naczelnych zysków, uzyskanych przez to, że wrogowi nie powiodły się jego plany i zamiary. Jest to bardzo poważna lista, która dowodzi, że r. 1942 zanotowany będzie przez dzieje jako nader doniosły okres wojny.

A teraz zyski "czyste":

1/ *Wejście do wojny Stanów Zjd. i niezwykle szybkie "rozkręcenie się" amerykańskiej produkcji wojennej.* Niemal dla wszystkich niespodzianką jest szybka mobilizacja amerykańskich sił lądowych, morskich i lotniczych. Po pierwszych uderzeniach USA zebrały się szybko do skoku. Cyfry, jakie naznaczył Roosevelt, będą osiągnięte z małymi chyba tylko niedoborami. A więc i lotnictwo wyprodukuje olbrzymie ilości maszyn—przy czym niektóre z nich, jak to zapowiedział świeżo, szef lotnictwa generał Arnold, będą iście straszliwą bronią. Także czołgi znajdą się w tysięcznych masach na polach bitew, wojsko uzyska swoje nowe miliony rekruta, marynarka wojenna zasili się nowymi jednostkami a miliony ton żeglugi spłynie na wody w stoczniach i dokach.

2/ *Olbrzymi rozwój lotnictwa brytyjskiego*, pokrycie całej W. Brytanii siecią lotnisk, przeistoczenie Wysp Brytyjskich w prawdziwy lotniskowiec, w bazę, skąd idą wyprawy bombowe na Rzeszę i na okupowany ląd Europy i ku Włochom, a nawet dalej, spadochroniarskie oddziały ku Afryce płn.

3/ *Sukcesy w Libii i w Płn. Afryce Francuskiej*, które nie są jeszcze doprowadzone do końca, ale dowodzą, że kampania afrykańska może być skończona w niedługim czasie, jeżeli rzucimy w nią wszelkie siły.

4/ *Coraz lepsze wyniki armii sowieckiej*, zasilanej sprzętem własnym, co dowodzi, że przemysł wojenny Rosji dalej działa i że będzie działał. *Zdolność tej armii do wysiłków zaczepnych.* Dopływ broni i wszelakiego sprzętu z krajów sojuszniczych do Rosji.

5/ *Opanowanie położenia na Dalekim Wschodzie*, zahamowanie parcia japońskiego, organizacja obrony Indii, mobilizacja sił Australii, stały wzrost sił amerykańskich na tym obszarze, rosnąca pomoc lotnicza dla Chin, które zamieniają się coraz bardziej w czynną bazę wypadową w kierunku lądu stałego Japonii.

6/ *Zespalanie się strategii sojuszniczej*, która coraz bardziej—chociaż dalej jeszcze niezupełnie i niedoskonale—planuje w wielkich liniach i rzutach. Na tym polu wiele jest jeszcze do zrobienia, a stworzenie Sojuszniczej Rady Wojennej wydaje się czymś nieuniknionym. Pierwsze kroki są dokonane. Również na polu politycznym sojusznicy coraz lepiej i ściślej współpracują, chociaż i tutaj jest jeszcze wiele luk, nieufności, różnic. *Trzeba będzie najwyższego wysiłku, ażeby stworzyć tę wspólnotę myśli i czynu, bez której nie do pojęcia jest skuteczne wygranie tej wojny.*

Oto najważniejsze zyski nasze w ciągu mijającego roku, które dowodzą, że *energią, wolą, upartą pracą, organizacją produkcji—dokonaliśmy w roku* 1942 *ostatecznego przełamania "złej passy" i wkroczyliśmy w nowy okres: pasowania się z wrogiem na zasadzie równości, równych szans* — po okresie krzywdzącej, a niekiedy upokarzającej niższości.

WESZLIŚMY W OKRES PRAWDZIWEJ WALKI

Do połowy 1942 wojna miała nadmiernie jednostronny charakter. Nosiła ona miano i znamiona tego, co język angielski określa słowami "*fighting retreat*"—odwrót w walce. Musieliśmy dokonywać odwrotu na wszystkich odcinkach od Singapore po El Alamein. Cofaliśmy się stale, a jeżeli przechodziliśmy do działań zaczepnych, to na zbyt krótki czas. Sukcesy nasze polegały na niszczeniu sił wroga, na wytracaniu jego sprzętu, jego załóg lotniczych i okrętów podwodnych, na zużywaniu jego siły, energii, rozmachu. *Nasza strategia była defensywna, negatywna*—cieszyliśmy się, że nie jest gorzej, że wróg nie uzyskał wielu rzeczy, które mógł może uzyskać, gdyby nie był zaślepiony dumą i zbyt dufny, gdyby nie popadł nadmiernie w manię wielkości.

Innymi słowy: nasza cała taktyka do połowy roku bieżącego polegała na tym, ażeby męczyć wroga, ażeby cofać się przed nadmierną przewagą, ażeby nie dopuszczać do nadmiernych strat własnych, unikać bitew, któreby pociągały za sobą klęskę. Chociaż sami zmuszeni byliśmy nieraz do rozpraszania własnych sił, to jednak uzyskaliśmy również *i rozproszenie sił wroga.*

Największa zdobycz nasza, największy nasz atut — to przez te ciemne i ponure nieraz chwile—*wytrwałość, wiara, to świetny doprawdy stoicyzm narodu angielskiego, który zawierzył swojemu instynktowi i temu, że jednak — zdąży na czas.* Raz jeszcze bezmiar Imperium Brytyjskiego okazał się doskonałym sprzymierzeńcem, jak i hart i dobre nerwy tego narodu. Dzisiaj, patrząc na wydarzenia wojny na schyłku roku 1942 widzimy, że jednak naród angielski mimo całego "*muddle through,*" nieporadności wstępnej, zaskoczenia—*prowadzi tę wojnę doskonale.*

Nie dał się zastraszyć, nie dał się wprowadzić w zasadzki i pułapki, *wyczekał na wejście USA, doskonale obliczył wytrzymałość Rosji, świetnie rozbudował RAF, wspaniale utrzymał władanie na morzach.*

Z okresu znoszenia ciosów, który dowiódł niebywałego hartu, fizycznej wytrzymałości organizmu brytyjskiego, nieugiętej doprawdy wiary, że "wszystko musi być dobrze"—*przechodzimy do okresu, kiedy na każdy cios odpowiadamy ciosem, kiedy zadajemy coraz więcej uderzeń i kiedy siła naszego ciosu wzrasta.*

Dlatego rok 1943 będzie tak ważny, albowiem oglądać będziemy próbę sił między przeciwnikiem dalej jeszcze bardzo silnym — chociaż już podkopanym moralnie i materialnie—a armiami naszymi na lądzie, na morzu i w powietrzu. *Starcie będzie coraz pełniejsze, powierzchnia zderzenia coraz większa.*

CO PRZYNIESIE ROK PRZYSZŁY?

Bawienie się w proroctwa nie jest zadaniem łatwym. Wszelkie przepowiednie co do trwania wojny należy traktować ostrożnie, albowiem—człowiek nie panuje nad losem. Każdemu zaleca się więcej skromności w tej mierze. Wiele znaków mówi, że Rzesza przejdzie przez poważny kryzys w roku 1943.

To pewne, że Rzesza nie uzyska wyniku w nadchodzącym roku w Rosji —a zatem nie uzyska go już wcale. *Jej strategia fortecy europejskiej jest strategią defensywy.* Nie znaczy to oczywiście, ażeby Rzesza w defensywie nie była groźna, ażeby widoki dla ujarzmionej Europy nie były przez to czarne. Wiemy, że wszelkie przeciąganie się wojny może powiększyć jeszcze wyniszczenie zasobów ludzkich Europy, podkopać byt fizyczny narodów podbitych. Wiemy, że trwanie wojny podkopuje także zasady ładu społecznego, że wszelkie prądy już nie skrajne, ale rozkładowe będą działać coraz bardziej w obrębie społeczeństw, że fermenty rewolucyjne będą coraz więcej zyskiwać głos.

To wszystko są znaki niepokojące, które każdy świadomy człowiek, Europejczyk, Polak musi brać pod uwagę. Musimy wierzyć w zwycięstwo, ale wiara oparta na: "jakoś to będzie" czy, jeszcze gorzej na: "wszystko jest świetnie," nie jest wiarą—jest lekkomyślnością. Musimy nauczyć się powagi myślenia, która sprawia, że patrzy się na rzeczy nie tak, jak się nam wydaje i jak nam jest wygodnie, ale tak jak się one istotnie przedstawiają—ażeby widzieć bezmierne trudności tej chwili i chwil przyszłych, opory, jakie los stawiać będzie interesom Polski i Europy, interesom kultury i ładu chrześcijańskiego.

Rok 1943 przyniesie pasowanie się na największą skalę i musimy być przygotowani na niejeden jeszcze cios. Ale będą to ciosy zadawane w walce, będzie to pełnia boju. Nasilać się on musi coraz to bardziej, przynosząc zdziczenie wojny lotniczej, jeszcze większą grozę dla wielu krajów, jeszcze większe rozpętanie sadyzmu niemieckiego, jeszcze większy ucisk w Europie. Rok 1943 nie będzie pewnie rokiem ani łatwym ani pogodnym. *Ale przynieść on winien takie stanowiska i takie odskocznie, z których będzie można spaść na kontynent Europy, podsunąć się pod warownię niemiecką i uderzyć w nią.* Jeżeli uda się nam to, będzie to bardzo wielki sukces. Od tego momentu do kresu wojny jest jeszcze kęs drogi, ale w każdym razie będzie to już—okres finishu.

London, dnia 22-ego grudnia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

NASTĘPNY NUMER "POLSKI WALCZĄCEJ" UKAŻE SIĘ 8 STYCZNIA 1943 ROKU

Z tygodnia na tydzień

12 *grudnia: gen. Sikorski przeprowadzał konferencje wojskowe w Waszyngtonie.*

—Polskie dywizjony myśliwskie brały udział w osłonie dwóch wypraw bombowych sił powietrznych Sprzymierzonych. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

14 *grudnia: Polskie dywizjony bombowe w nocy z 13/14 brały udział w minowaniu wód nieprzyjacielskich. Wszystkie polskie samoloty powróciły.*

15 *grudnia: W nocy z 14/15 polskie dywizjony bombowe minowały wody nieprzyjacielskie. Mimo trudnych warunków operacyjnych wszystkie załogi powróciły.*

—Izba Lordów powzięła na wniosek Lorda Elgina uchwałę, wyrażającą oburzenie z powodu zbrodni dokonywanych przez Niemców w Polsce oraz wyrażającą podziw dla niezłomnej postawy Polski i zapewniającą, że należna kara za wszystkie zbrodnie będzie wymierzona. Minister Lord Selborne złożył w imieniu rządu oświadczenie, w którym m.in. zapewnił Polskę, że jej opór i walki, które Polska toczyła i toczy nie pójdą na marne i Wielka Brytania wykona swe zobowiązania wobec Polski.

16 *grudnia: gen. Sikorski podczas śniadania "Overseas Press Club" w Nowym Yorku wygłosił przemówienie na temat bieżących zagadnień politycznych i wojskowych.*

—W nocy z 15/16 polskie dywizjony bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich. Wszystkie załogi powróciły.

18 *grudnia: Kierownictwo Marynarki Wojennej podało do wiadomości, że nowoczesny kontrtorpedowiec O.R.P. "Orkan" rozpoczął służbę na morzu w ścisłej współpracy z "Royal Navy."*

Wojna na morzu

Rok 1942 kończy się, jak i poprzednie, pod znakiem marynarki i lotnictwa. Nie znaczy to oczywiście, aby wojsko na lądzie straciło coś ze swego znaczenia. Ale słynne przed wojną zdanie Mussoliniego: "o rezultatach nadchodzącej wojny stanowić będą marynarka i lotnictwo, podczas, gdy wojsko lądowe wykorzystywać będzie sytuację strategiczną, stworzoną przez te dwa czynniki"—znalazło w pełni swe potwierdzenie. Dziś właśnie sam Mussolini widzi, jak ciężko jest wojować, nie panując na morzu i w powietrzu. I nawet Goebbels—po wypadkach tulońskich oświadczył: "Przez zniszczenie swej floty Francja przestała istnieć jako potęga; nikt nie zechce zawierać z nią przymierzy —my najmniej."

Operacje morskie ostatniego roku podzielić można na dwa wielkie teatry operacyjne: Atlantyku, z morzami: Śródziemnym, Północnym i Polarnym oraz Pacyfiku, od Aleutów do Australii. Poza tym szereg operacji miał miejsce na Oceanie Indyjskim oraz na morzach rosyjskich—Barentsa i Czarnym.

TEATR OPERACYJNY ATLANTYKU

Bitwa o Atlantyk trwa, przy czym nie obywa się bez strat Sojuszników. Nieprzyjacielskie okręty podwodne osiągają od czasu do czasu sukcesy większe nawet, niż lotnictwo, którego sferę działania ograniczyły bardzo brytyjskie patrole powietrzne. Rzecz jasna, że okręty podwodne działają przy każdej pogodzie i do tego z ukrycia, podczas, gdy samoloty—acz piorunująco szybkie—skrępowane są szeregiem czynników zewnętrznych, wynikających z samej ich struktury i pozbawiających lotnictwo możności trwania na strategicznych akwenach /obszarach morskich/.

Jednakże skoordynowana akcja floty brytyjskiej i amerykańskiej oraz lotnictwa, przyczyniła się w znacznym stopniu do osłabienia akcji nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, przy czym podkreślić należy, że 850 okrętów i statków, tworzących ekspedycję desantową do Afryki północnej, przebyło Atlantyk bez strat. Głównym osiągnięciem flot Sprzymierzonych na Atlantyku i morzach przyległych jest więc trzymanie otworem, przez cały czas wojny, morskich dróg komunikacyjnych i to na przekór nieprzyjacielskim usiłowaniom blokady.

Gdyby nie panowanie na morzach, Anglia nie mogłaby być zaopatrywana w sprzęt, żywność, surowce strategiczne i ludzi, a tego rodzaju bazy, jak Malta, Gibraltar, Aleksandria byłyby oddawna stracone. Oczywiście nie byłoby wówczas nawet mowy o desancie Sprzymierzonych w Afryce, która stałaby się tym samym, domeną wojskową "Osi."

To samo powiedzieć można o konwojach polarnych do Rosji i o transportach Sprzymierzonych sił i sprzętu dookoła Afryki, którędy długi czas wiodła jedyna droga zaopatrywania Armii Nilu. Siły brytyjskie w Egipcie i na Bliskim Wschodzie byłyby bezpowrotnie stracone, gdyby Sprzymierzeni przestali władać na morskich szlakach komunikacyjnych.

Jaskrawy przykład, czym jest panowanie na wodach, mamy choćby na operacji na Wschodnim Śródziemnomorzu. Niemcy i Włosi, mimo zajęcia Krety przy pomocy lotnictwa nie zdołali ani wylądować w Egipcie, ani zablokować kanału Suezkiego ani zdobyć Malty czy Cypru, ani pomóc rządowi Vichy w Syrii. Ba—nie potrafili nawet poważniej przeszkodzić ewakuacji większej części wojsk brytyjskich z Grecji, morzem do Egiptu. Potwierdza to w zupełności doświadczenia uzyskane już na zachodnioeuropejskim teatrze działań, że jeśli marynarka słabo się czuje bez pomocy własnego lotnictwa /wywiad, osłona/, to lotnictwo bez marynarki jest tylko czynnikiem niszczycielskim, bez szerszych możliwości strategicznych. Bitwa powietrzna o Anglię świadczy o tym wymownie.

Dodać można, że pomimo braku własnej osłony lotniczej, pomimo poniesionych strat — marynarka zdołała jednak wyewakuować wojska sprzymierzone z takich pułapek, jak Norwegia, Dunkierka i częściowo Grecja, a także zaopatrywać regularnie Maltę poprzez kilka tysięcy mil morskich w sferze powietrznego panowania nieprzyjaciela. Wreszcie sowieckie bazy morskie w Kronsztacie i Batumie trwają, mimo fantastycznie niekorzystnego położenia strategicznego. Nieprzyjacielowi do zdobycia ich brak odpowiedniej siły morskiej, oraz morskich środków transportowych.

TEATR OPERACYJNY PACYFIKU

Cyfry mówią za siebie. Gdy wybuchła wojna, flota japońska posiadała 270 wojennych jednostek pływających, amerykańska 371. Nalot japoński na Pearl Harbour pozbawił Amerykę na stałe czterech okrętów, w tym dwóch liniowych. Po roku straty Japonii wynosiły około 100 okrętów, Ameryki 78.

Ale Stany Zjednoczone mają w budowie lub na wykończeniu ponad 400 okrętów i budują w ilości oraz tempie, którego Japonia nigdy nie będzie w stanie wytrzymać. Mimo utraty takich baz, jak Filipiny, Indonezja i Malaje—flota gwiaździstej bandery nie dała się wyprzeć z szerokich przestworzy Pacyfiku i przyjdzie moment, kiedy uzyska potencjał, wobec którego bandera wschodzącego słońca okaże się bezsilna.

Bazy australijskie i nowozelandzkie mają dziś wybitne znaczenie dla marynarki U.S.A. wyrównując utratę Singapore, Hong Kongu, Surabaji i Manilli, podczas gdy komunikacje nieprzyjaciela, rozciągnięte od wybrzeży japońskich, są niezmiernie dalekie i trudne. Na północy, mimo pewnych sukcesów japońskich, niebezpieczeństwo amerykańskie wisi wciąż nad Japonią, opartą o Alaskę i Aleuty.

Już akcja na Salomonach i Nowej Gwinei wykazuje w pełni, że wszystkie operacje lądowe są tu następstwem panowania na morzu i w powietrzu. To też—mimo strat poniesionych przez flotę U.S.A.—w miarę jak nowe okręty i samoloty budowane są w iście rekordowym tempie, sytuacja poprawia się z każdym dniem na rzecz Stanów Zjednoczonych. Tempa tego Japonia, ani żadne inne państwo "Osi" nie wytrzyma i dlatego położenie strategiczne zmieniać się winno stale na korzyść Sprzymierzonych.

Operacje na Oceanie Indyjskim są poniekąd funkcją albo operacyj atlantyckich, albo operacyj Oceanu Spokojnego. Od dłuższego jednak czasu, prócz działań okrętów podwodnych i korsarzy nieprzyjaciela, nic tam godnego uwagi nie zaszło. Punktem szczytowym były walki o Singapore, zatopienie "Prince of Wales" i "Repulse" przez lotnictwo japońskie oraz walki na morzach okalających Indie Holenderskie. Jak zwycięstwa te wyczerpały Japończyków świadczy fakt, że mimo upływu bardzo długiego czasu, flota japońska nie przedsięwzięła żadnej operacji w kierunku zachodnim.

U PROGU NOWEGO ROKU

W dniu 7-go grudnia, podkreślając u samego schyłku roku znaczenie morskiej siły zbrojnej, Amerykanie spuścili na wodę nadpancernik "New Jersey" /56.000 ton, 9 dział 406 m/m/ na 18 miesięcy przed spodziewanym terminem. Równocześnie w różnych stoczniach spuszczono na wodę 2 lotniskowce, 7 kontrtorpedowców lub eskortowców i 4 okręty podwodne. Jest to dotychczas nigdzie niespotykany rekord dzienny.

W najbliższym czasie ciężar walk skupiać się będzie na wodach europejskich i afrykańskich /Atlantyk i Morze Śródziemne/. Od panowania na morzu zależą losy wyprawy afrykańskiej, a od niej z kolei los Włoch — "wspaniałego sprzymierzeńca" hitlerowskiego. Może niezadługo już będziemy świadkami wielkich wydarzeń na wodach otaczających Italię. Jasne jest, że "Oś" musi dołożyć wszelkich starań, aby zneutralizować niebezpieczeństwo "afrykańskie", podczas gdy Sprzymierzeni muszą sobie zapewnić pełną swobodę działania zarówno w basenie śródziemnomorskim, jak i w komunikacji z tyłami.

W tym wszystkim Polska Marynarka Wojenna bierze liczebnie skromny, ale taktycznie wybitny udział, przysparzając chwały banderze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a świadcząc całemu światu o żywotnych siłach Polski Walczącej.

JULIAN GINSBERT

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 30.X.1942—11.XII.1942

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Pewnych — 1	Ilość wypraw: 68 / Łączna ilość samolotów: 383
Osłona wypraw bombowych Wymiatanie Patrole dzienne i nocne	Główne cele: Stuttgart, Essen, Mannheim i Turyn. Minowanie wód nieprzyjacielskich. Wymiatanie okrętów podwodnych. Bombardowanie żeglugi nieprzyjaciela.
Razem od czasu przybycia do Anglii do 11.XII.1942	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 497	Łączna ilość samolotów: 4408

Konkurs świąteczny "Polski Walczącej"

WARUNKI KONKURSU:

W konkursie mogą brać udział wszyscy. Zadaniem każdego biorącego udział w konkursie jest możliwie szczegółowo opisać, co każde zdjęcie przedstawia. Opis poszczególnych zdjęć należy opatrzyć kolejnymi numerami.

Koperta z odpowiedzią winna zawierać: imię, nazwisko, adres oraz kupon upoważniający do udziału w konkursie, znajdujący się na stronie 16 niniejszego numeru. Odpowiedzi należy kierować na adres redakcji "Polski Walczącej": 5, Portugal Street, London, W.C.2, z zaznaczeniem na kopercie: "Konkurs."

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa z dniem 20 stycznia 1943 roku /data stempla pocztowego/. Wynik konkursu będzie ogłoszony w numerze 4 "Polski Walczącej" z datą 30 stycznia 1943 roku.

Za poprawne rozwiązanie redakcja przyzna cztery nagrody:

I nagroda: bezpłatny 14-dniowy pobyt w Londynie /"Dom Żołnierza Polskiego" lub "United Nations Forces Club"—do wyboru/.

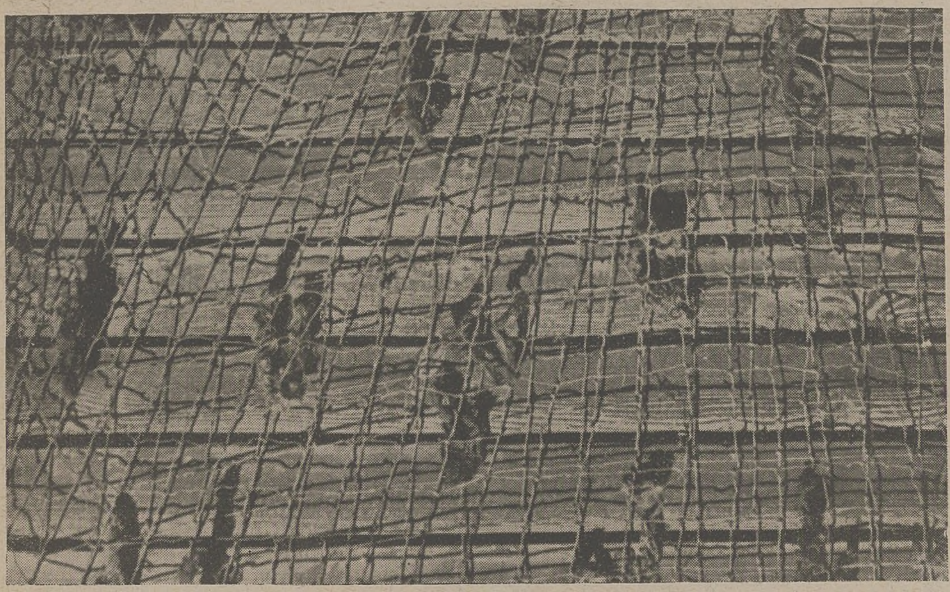
II nagroda: bezpłatny 7-dniowy pobyt w Londynie.

III nagroda: komplet "Chłopów" Reymonta /4 tomy/.

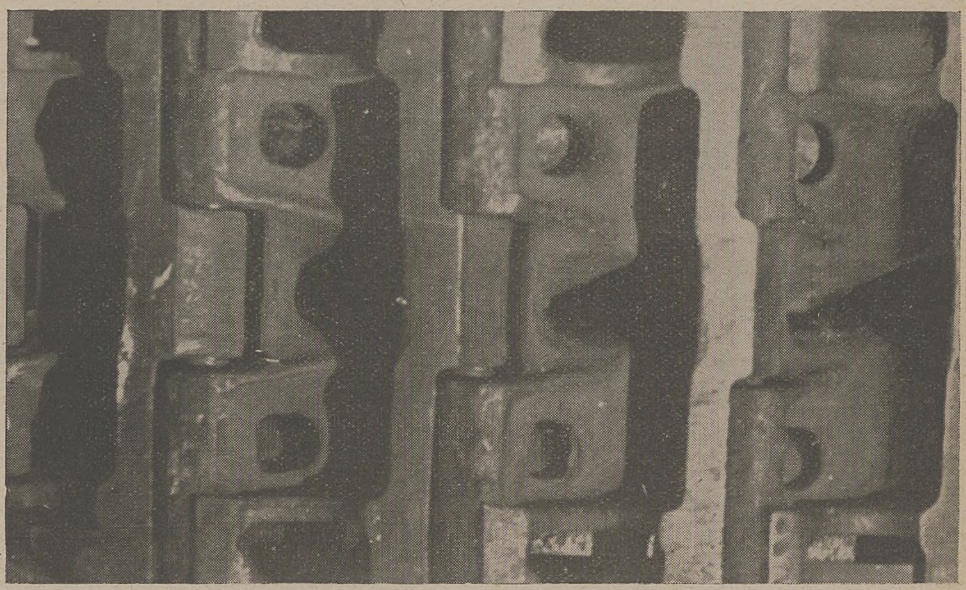
IV nagroda: półroczna bezpłatna prenumerata "Polski Walczącej."

W wypadku kilku jednakowo dobrych odpowiedzi przydział nagród nastąpi drogą losowania.

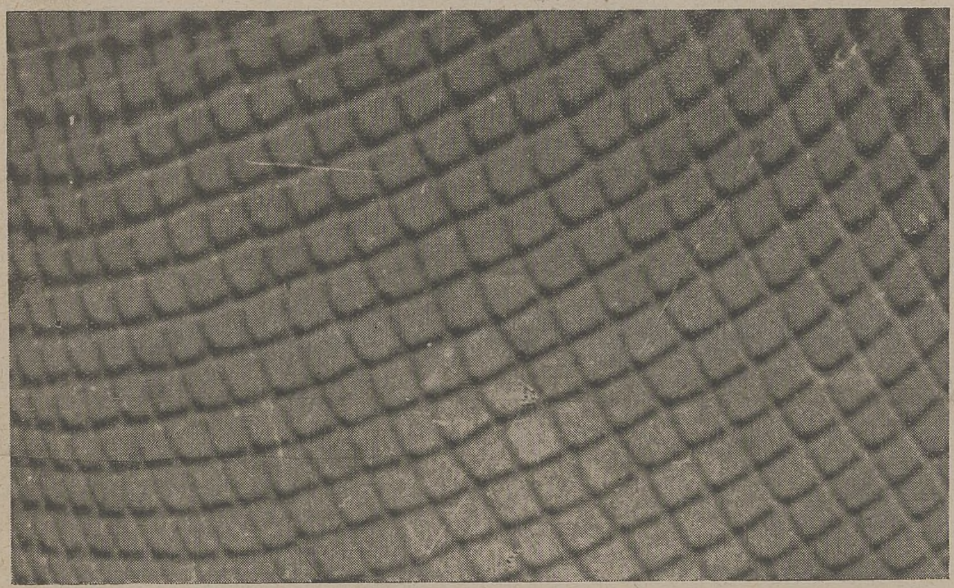
fotografie Stefana Bałuka



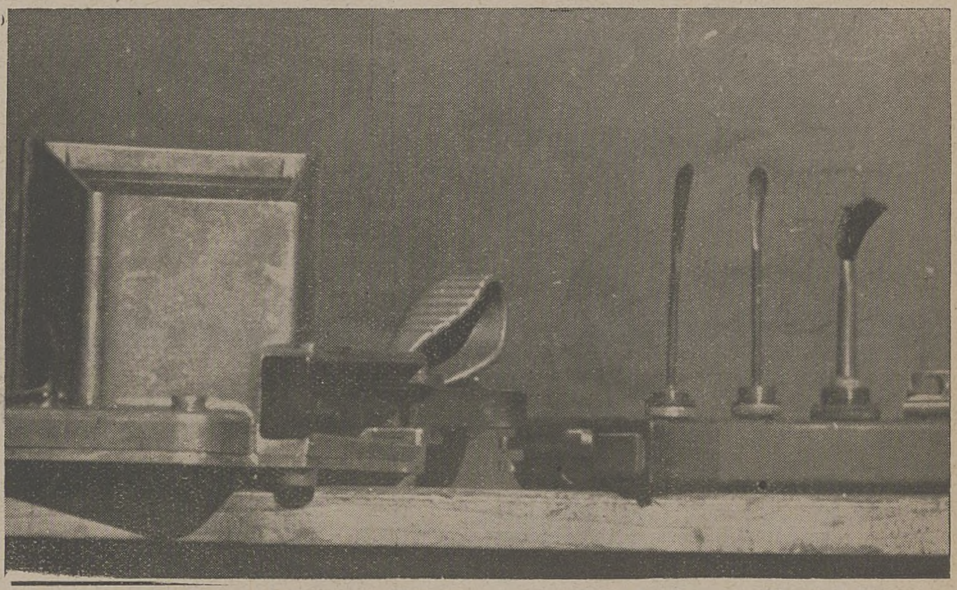
1



2



3



4



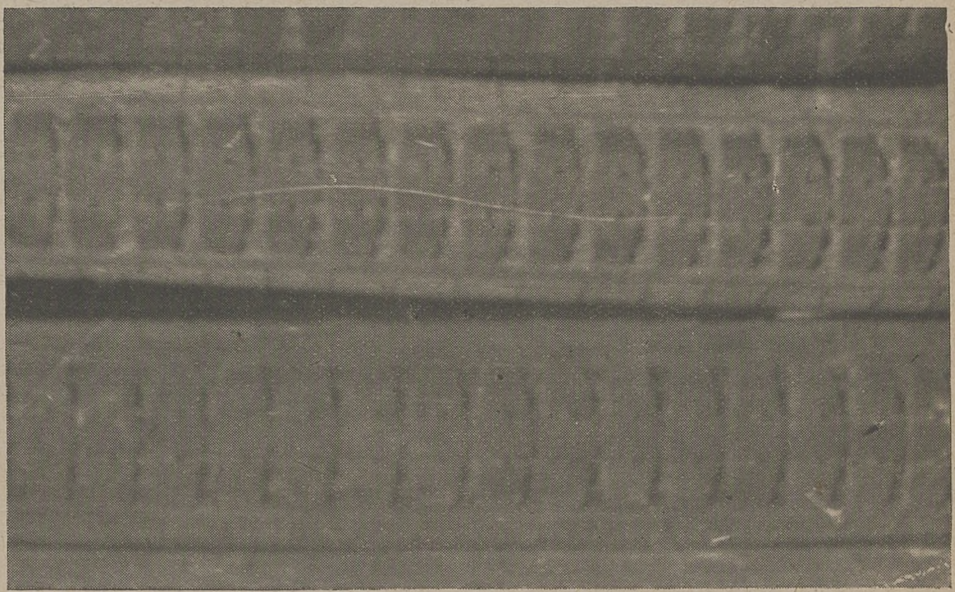
5



6



7



8



POSTACIE:

Punchinello — zwany Punch
Kukieleon Marianparte — minister obrony /na Radzie/ narodowej
Duch — z Zachodu
Boruta — ze Wschodu
Redfinger
Psztykiel
G. Wasz — pan na Zabłociu i Sardynii
To-i-owo-szewski
Hemarian
Kwapiro
Zygmunt Pius czyli Stary
Porucznik Zet-es-er-ery — poseł z Bujdyszewa
Fe-kiks Snobpolski — malarz nadworny
Protegopieni — śpiewak dworski, basso Tobruko

REKWIZYTY:

samolot typu "Kollaborator"
głośnik Radia Polskiego

Dekoracje każda osoba czy zjawa przynosi ze sobą i ustawia raz tak raz inaczej, zależnie od widowni, jak danej osobie wygodnie. Maski są różne i często zmieniane. Kurtyna, jeszcze przed otwarciem wydyma się silnie wskutek wiatru reorganizacyjnego. Z tego prawdopodobnie powodu wiele kukiełek wypada zza kurtyny jeszcze przed rozpoczęciem akcji.

Po podniesieniu kurtyny widzimy nową, nieznaną postać, którą ten sam wiatr wywiewa ze starych szopek angielskich. Jest to niejaki Punchinello czyli *Punch*—bufon czyli arlekin, tradycyjny zapowiadacz widowisk angielskich, znanych pod nazwą: "Puppet-show." Na gwałt uczy się on języka polskiego i będzie coraz baczniej przypatrywać się rzeczom, które zaczną się rozgrywać w tej polskiej szopce. Darujcie mu jego gaffy i potknięcia. Punchinello czyli Punch nie zna nikogo z nas, niczego nie rozumie, uśmiecha się więc życzliwie i czeka . . .

Pora nocna. Na niebie błyszczą nowoprzyszyte gwiazdki ostatnich awansów planet . . . nie-rezerwowych. W tym momencie na londyńskich starych ruinach własnej kariery Puchacz wybija trzecią broszurę.

Nad głową Punchinella przelatuje nisko tajemniczy samolot typu: "Kollaborator." Punch przerażony stawia na scenie tabliczkę z napisem: "Air raid warning." Do szopki wchodzi w tym momencie: Kukieleon Marianparte. Strój napoleoński, w teczce: dużo kłopotów.



Kukieleon:
Usuń, wasan, tablicę,
To nie nalot przecie,
To tylko N.W. znowu
Do Roosevelta leci.

Punch:
N.W.? Daruj mi cesarzu,
Nie znam tego skrótu . . .
Czyżby: North-West?

Kukieleon /ostro/
Milcz wasze.
Opozycją pachnie żart i butą.
/po chwili łagodniej/
Czasem istotnie: North-West
To znaczy: do Białego Domu.

Punch:
N.W.? Czy skrót tajemnicą jest?
Powiedz, sir, honestly, nie zdradzę nikomu.

Kukieleon:
Zgaduj, gdyś tak ciekawy
A On ci przebaczy.

Punch:
N.W.—to "Nowy Wyjazd"
Może także znaczyć . . .
N.W.—to "Nie mam Wypoczynku,"
Chęć zgadywań silna,
Zaraz . . . zaraz N.W.
To także znaczy:
"Nie Dam Wilna."

Kukieleon:
Waszmość jesteś Anglikiem,
Choć strój jakby nasz.
Możeś "oficjalnym czynnikiem"
Bo aktualność naszą dobrze znasz.

Punch:
Znam i nie znam.
Wylazłem teraz z "Puppet-show,"
Pana rzadko widywałem w Londynie,
Skąd pan więc i kto?
How do you do?

Kukieleon:
"Do"—owszem, ale: "how"?
Za krótko jestem tu,
Bym szczerze odpowiedzieć śmiał.

Punch:
Postać i strój—napoleońskie,
Lecz sir, jakbyś onieśmielony.

Kukieleon:
Bo ja nie jestem ministrem ataku,
Ale tylko ministrem obrony.
Poza tym . . .

Punch:
Mów śmiało Szef Sz . . . TABU daleko.

Kukieleon:
Mnie tęskno do Szkocji
Malutki człowieku.
Znasz dzieje Napoleona?
Porównaj różnice:
Ja zacząłem na "Reginie,"
A on na Korsyce.
On miał Elbę—ja Korpus.
O mój losie zmień się.
On osiadł na Helenie
A ja—na Rubensie.

Punch:
Minister obrony?
Czego bronisz przeto?

Kukieleon:
Pst. Ciszej, Punchinello,
Na razie . . . budżetu.

Punch:
Czy plan obrony dalszej
Sir, już ma gotowy?

Kukieleon:
O, yes. Będę bronił rządu
Na Radzie Narodowej,
Będę bronił Rady
Przed żądaniem rządu
I rząd przed atakami
Nierządowych prądów,
Nierządowe prądy
Przed żądaniem frondy,
Pod rząd żądań rządowego prądu
Zgodnie z sądem.

Punch:
O, that trouble—zmartwień chmura
Bardzo sorry jestem, sir.

Kukieleon:
I to się nazywa "ster"
I to się nazywa . . . "góra."
/Punchinello wydobywa kobzę i gra szkocką piosenkę: "Loch Lomond"/

Kukieleon /deklamuje na tle muzyki/:
I take the high-road,
A wolę tę low-road,
Choć jestem w rządzie before you
Do East-End, do Falkirk
Powracam w myślach wiernie,
O Bonnie, Bonnie Banks
W Bridge of Earnie.
/zobaczywszy kogoś zdaleka zdąża szybko do wyjścia/

Punch:
Odchodzisz panie, sir, tyś tak stroskany . . .

Kukieleon:
Północ minęła.
Pora . . . Duchów,
Pora na . . . Szatany.
/wiatr wyje, muzyka staje się niesamowita/

Punch:
Szatany, Duchy jakaś nowa nuta . . .

Kukieleon:
W każdej polskiej szopce
Był Duch i . . . Boruta.

/Kukieleon znika w powodzi aktów, kłopotów awansowych i projektów reorganizacyjnych/

/Punchinello chowa się do dziury, do luki, o którą dziś na naszej scenie narodowej nie trudno. Scena staje w światłach niesamowitych, przechodzi przez nią zapach kanadyjskiej żywicy . . ./

Duch /zjawia się niespodziewanie od strony zachodniej/:
Do tata lecim do tata,
Rekrutów ciągle nie mamy,
I misja i ja—ten samy.
/śpiewa/
Prosiłem ich tam, w Kanadzie,
Żeby sami, ochotniczo, radzi,
Tam w Kanadzie, na paradzie
Zapraszałem ich.
Prosiłem ich na mitingach,
Że żołnierka, krew, wojenka, dźwięczy klinga,
Na mitingach, na mitingach
Zapraszałem ich.
Prosiłem ich na bankiecie,
A to było jeszcze, jeszcze w lecie,
Przy bufecie, na bankiecie
Zapraszałem ich.
Oni pięknie przemawiali,
Podrzucali w górę i śpiewali,
A na drogę Rubla dali,
Ale więcej nic.
/siada na . . . Cuparze/

/Gromy i błyskawice rozdzierają niebo. Od strony wschodniej zjawia się na łopacie Boruta/



Boruta:
Precz z kremami.
Precz z pudrami.
Battledressy.
Będziemy w Europie.
Na razie z wami.
Kartofle. Kopię.
Chłopcy.
W kopce.
Do pracy.
Albośmy to jacy tacy.
Niech inni gniją w "kulturze."
A my: z kartoflami.
Pod furą.
Na furze.
Hełmy.
Nie rogatywki,
I: Czołem.
Chórem.
I na wyrywki.
Rozumiem: taniec,
Rozumiem: dziewczyna.
Drink. Owszem.
Ale nawet
W szynku—dyscyplina.
Wracam ze Wschodu.
Dojść żmudno.
Nie doszedł do Londynu
Kot.
Ja doszedłem.
Trudno.
Obejmuję Korpus
Panc. Mot.
Jak ja korpus obejmuję,
Spytajcie dziewczyny.
Mocno.
Twardo
I z fasonem.
Czołem chłopcy.
Płynę.
/płynie w górę na łopacie wśród błysków i gromów/

Punch /wystawiając łeb z dziury/
Od zjaw, duchów i diabłów aż w tej szopce mglisto
/zobaczył nadchodzącego/
O my goodness . . . znów jakiś . . . Mefisto?

/Do szopki wchodzi cichutko po dywanie gabinetowym doktor Wszechnamiętności Politycznych, Redfinger. Kręcąc gitarę stroi i szuka odpowiedniej nuty/

Redfinger:
Do, re, mi, fa sol, la, si . . .
Tylko "si." Pardon: "SI"
Przez duże "S"
Yes.

Redfinger:
/śpiewa na nutę: "Piłem"/
Byłem. Kto mówi, że nie byłem?
Szeptałem i radziłem.
Ja wszędzie z Nim jeździłem.
Byłem. Do Rosji się trudziłem,
W Afryce wino piłem,
Z Rooseveltem "cup of tea."
Byłem. Wśród królów i premierów
Nikt inny z Redfingerów,
Lecz tylko, only me.
On—na zdjęciu, zaraz za Nim—ja
Czy, gdy promocja trwa,
Czy, gdy ktoś mowę ma.
Ja. Przede mną tylko—On
I to jest cały plon
Gdy znajdziesz ton.
/Stroi gitarę na wysokie SI/

Punch /podchodzi nieśmiało/:
Are you En double Ju?

Redfinger:
Not exactly. I am raczej:
W.Z.N.

Punch:
Cóż znaczy skrót ten?

Redfinger:
Wszędzie Za Nim.

Punch:
Z kim mam honor, z kim?

Redfinger:
Pan Polak? Pan mnie nie zna?
Pan się naraża!

Punch:
Niech to pana nie obraża,
Nie znam pana. I am English
Punchinello.

Redfinger /nagle zmienia ton/:
Punchinello? I am so sorry . . .
Z których Punchów? Znam ich sporo.
W Anglii siedzę tyle lat.
How are you? I am so glad . . .

Punch:
Punchinello z "Puppet-show"

Redfinger:
Adres? Phone? Kiedy lunch
Znam się na tym mr. Punch.

Punch:
Tyle ognia, tyle siły,
Kim pan jesteś, panie miły?
Jakąś wielką czuję postać.

Redfinger:
Można czuć.
Lecz trudniej zostać.

Punch:
Lordem jesteś, admirałem,
Ministrem czy generałem.

Redfinger:
No—and: Yes, my little sir.
Ja się nazywam: changé d'affaires

Punch:
Nie rozumiem, lecz brzmi sweet.

Redfinger:
Ja realny. Reszta—mit.
Całą Anglię mam w kieszeni
Vidi, vici, nim On veni.

Punch:
May I ask you. Myśl zuchwała,
Bądź pan łaskaw mi darować.
W imię Anglii prośba mała,
Chciej coś dla nas wytargować.
Teraz wierzę całkiem szczerze
Wielkość Anglii—w Redfingerze.

Redfinger /klaszcze w dłonie/:
Dawać Psztykiela
Niech zdjęcie strzela.
/Psztykiel wyjeżdża z ciemni Strattonu z aparatem/

Psztykiel:
Proszę o uśmiech "honoris causa,"
Wytrzymać . . . Pauza.
Thank you.
Zrobić powiększenie?

Redfinger:
Nie trzeba. Jam dość wielki

Punch:
Chyba tylko głowę . . .

Redfinger:
Normalnie. Ja w wymiarze gabinetowym.

Psztykiel /zjeżdżając powoli z powrotem w ciemnię Strattonu/
Zdejmowałem szwoleżerów, zdejmowałem defilady,
Swoich no i etranżerów. "Kopy," "Copy" i parady.
Teraz psztykam coraz częściej. Kiedy zdołam to wywołać?
Oj to to nasi lubieją:
Sie zdejmować.
Oj to to jedno umieją:
Pozować.
Ale znikam, milczę, służę,
Bo miast zdjęć
Wywołam . . . burzę.

/Zjeżdża w dół. Redfinger wznosi się na ruchomych schodach do kolejki Kensingtonu/



Punch:
Jeden w górę, drugi na dół,
Niespokojna rasa.
A to co za orszak nowy?
Jak zwykle:
Po Psztykielu—prasa.

Wchodzi z kilkoma stołkami w ręce

G. Wasz:
Ostatnie wiadomości "Dziennika Polskiego"
Sensacja.

Głośnik Radiowy /odzywa się w szopce/:
Ostatnie wiadomości Działu Radiowego,
Sensacja. Nie było tego:
"Włosi jęczą pod knutem,
Niemcy biorą lanie,
Hiena pełna buty,
Korsarze spychani,

Gady pod cięgami,
Cięgi czyli razy,
Baty z obuchami,
Obcęgi, rubieże,
Hydra, Aligator . . .
A teraz to szerzej
Omówi: nasz komentator . . ."

G. Wasz:
Słowo w słowo z "Dziennika Polskiego,"
Zostałem bez niczego.
Cóż wam powiem? Jest w tym jedna racja
Wspólny jest minister—wspólna
Informacja.
/Wchodzi Toiowoszewski z ostatnią stroną "Dziennika Polskiego"/

Toiowoszewski:
Co słyszę? Pan z "Polskiego"?
Tylu was tam siedzi,
Że czasem wskutek tego
Człek się mocno biedzi.
Wiem, że pan jest . . . Argus
Nasz spec polityczny.

G. Wasz:
Poco długich targów?
Ja jestem. Faktycznie.

Toiowoszewski:
A który to Boryna?
To mnie zawsze nęka.

G. Wasz:
Na bródkę profesora się zaklinam:
Jam jest. To ta sama ręka.

Toiowoszewski:
Pan jest i Boryna. Proszę, proszę.
Prawie cały "Dziennik" zapełniasz
pótrosze.

G. Wasz:
Ciszej. Poufne ściśle.
Pomnij: rząd, ojczyzna . . .

Toiowoszewski:
Jeszcze coś. Niech pomyślę.
A ten . . . ten Gwasz—to który?
Niech mi pan to wyzna.

G. Wasz:
Ach, co za tortury!
Argus śmiałość ma.
Boryna ci powie:
Gwasz—to ja.

Toiowoszewski:
Argus, Boryna, Gwasz
Panie, pan mnie przerażasz.
A "Zet"—to kto?
No?

G. Wasz:
"K.Z."—to pan.
Lecz . . . "Zet"—to ja.

Toiowoszewski:
"Zet," Argus, Gwasz, Boryna,
Cała redakcja. Lecz jaka przyczyna?

G. Wasz:
Wielki polityk musi się ukrywać.
Praca. Reszta "off."

Toiowoszewski:
Przepraszam. Może pan jest Hinterhoff?

G. Wasz:
Szkoda zgadywać.
To dialog smorgoński . . .

Toiowoszewski:
A może . . .?
Ojej. Może pan jest Stroński?

G. Wasz:
Nie. To już nie ja. Daję panu słowo.
Przy okazji gratuluję, świetne: "To
i owo"

Toiowoszewski:
Pan czytuje? Dziękuję.
Pewne zmiany będą wprowadzone:
Z ostatniej—przechodzę już na
pierwszą stronę.

G. Wasz:
Dlaczego?
Bądź pan szczerszy,
Wszak to organ bratni.

Toiowoszewski:
Bo śmieli się na pierwszej
Zamiast na ostatniej.
/Wypływają w kierunku na Sardynię/
/Do szopki wchodzi Hemarian z kartkami pamiętnika. Zbliża się do Puncha i pokazuje mu nową fraszkę/

Punch:
Co to?

Hemarian:
Fraszka nowa.
Śmieszna, ale z celem.

Punch:
Czyja?

Hemarian:
Moja.

Punch:
Ty też jesteś Punchinellem?

Hemarian:
Każdy dwór wszak ma trefnisia
W swym królewskim gronie.

Punch:
Pan . . . na Kensingtonie?

Hemarian:
Jeśli puszczą . . .

Punch:
Wiersz czy pana?

Hemarian:
Rzecz już ocenzurowana.
Chcesz? Posłuchaj i podziwiaj.
Bo nie wolno nie podziwiać Hemariana.
Zaczynam:
"Nie sztuka, powiedział do mnie
Człowiek z opozycji,
Pisać takie satyry
Łechcąc rząd w ambicję.
A ja nie chcę, nie łechcę,
Rząd mi dziurę wierci
I naciska osobiście
Mr. Winston Churchill.
Prosi Władzio i Stasiek,
Gabinet i Rada,
Jakoś więc tak pcha się,
Wciąż brydża odkładam,
Chcąc obraz mieć jaśniejszy.
Jeśli się mozolisz,
Zadzwoń sam do Polish
Ministry of Information.



Strzelam, biję, biczuję
Może mi zaszkodzi?
Wciąż się sam dziwuję:
Jak mi to uchodzi? Jak mi to uchodzi?

Punch:
Jaki tytuł?

Hemarian:
Jeszcze nie mam
Wymyślę przy robrze.

Punch:
Myślę, że byłoby dobrze:
"Pochwała siebie samego."

Hemarian:
Nie chcę takiej przykrości
Dla Nowakowskiego.

Punch:
Masz w sobie wiele skromności . . .
Coś żołnierskiego!

Hemarian /prostuje się na "baczność" i śpiewa na nutę żołnierską/:
Jak wspaniała nasza postać
Kiedy w słońcu Stratton lśni?
Miałem porucznika dostać,
Lecz Ksawery zabrał mi:
Ja wolę tu, niech inni tam,
Gry wojenne tutaj mam:
Idę w pik. Gdy braknie mi
To idę wprost do B.B.C.
/wychodzi defiladowym krokiem "Bridge'gady Kartackiej"/
/W szopce wypływa na Łodzi dyrektor gabinetowy Kwapiro/

Kwapiro /wiosłując parasolem śpiewa na nutę "Barcaroli"/:
Łodzi cudna, której cień
Karierze naszej sprzyja.
Coraz wyżej jestem codzień
Bo z miasta Łodzi ci ja.
/Punch cumuje go do brzegu szopki/

Kwapiro:
Towarzysz z Łodzi?

Punch:
Pan z łodzi wychodzi
I am—z wyspy.

Kwapiro:
Anglik. Jaka szkoda?
Wziąłbym do ministerstwa
O, yes.
Gdyby jeszcze z P.P.S.
Gdyby jeszcze z Łodzi . . .

Punch:
Pan, jak widzę, jest dobrodziej . . .

Kwapiro:
Tu w Londynie cała Łódź:
Kolin, Rosenberg i ja
To młódź.
Ale starych nie naliczę
Tylko Tuwim w Ameryce.

Punch:
Pan żeglarzem? Rybołówcą?
Jak z tego wynika.

Kwapiro:
Czy żegluję? Jeszcze jak.
Z "Dziennika" do "Robotnika,"
Z "Robotnika" wprost w gabinet,
Taki rejs to nie są kpiny.
A czy łowię? Owszem tak,
Przez plecy lub pepeesem
Wyłowiłem "dyrektora,"
Może będę i prezesem.
Na żeglarzy przyszła pora . . .

Punch:
Tak wysoko—niebezpiecznie
Może głowa się zakręcić.

Kwapiro:
Lecz to nęci coraz więcej.
Prasa zbrzydła mi—ja prasie,
Trzeba więc się poddać passie.
Łodzi moja, chroń przed wirem
Haussa, haussa na Kwapiry.
/Wsiada do Łodzi i jedzie na niej w dalszym ciągu/

Punch:
Chowam się w dziurę. Clever jestem.
Bystry
Jeszcze i mnie wezmą przez pomyłkę
Do Polish Ministry . . .
/Do szopki wchodzi oryginalna para: Zygmunt Pius czyli Stary, niosąc Mojżeszową tablicę z przykazaniami a z nim Porucznik Zeteserery, poseł z Bujdyszewa, bawiąc się słupkami granicznymi/

Zygmunt:
Kochany Zeteserery
Ach ty jesteś rodny,
Ty masz talent szczery,
Młody, płodny, modny.
Kochany Zeteserery.

Porucznik:
Zygmuncie kochany
Podziwiam cię. Tyś hero.
Ta bitwa z Watykanem . . .
Cóż ja przy tym. Zero.
Zygmuncie kochany.

Zygmunt:
Luby. Słyszałeś o nowym Kolina
wydaniu?
"Dziesięcioro przykazań"—w moim
opracowaniu.
Wprowadzam rewolucję na odcinku osła
I nie ustąpię, żeby nawet Kuria protest
wniosła.

Porucznik:
Miły. Pamiętam. To było pewnie
w Bujdyszewie,
Siedzieliśmy z Wasilewym, z Wasią
Mordowiewem,
Na to wchodzi Gardiełow z Popijewem
tłustym,
A ja mówię, że Bolek . . .

Zygmunt:
Który?

Porucznik:
Krzywousty.
Że Bolek nie bez racji i nie bez kozery . . .

Zygmunt:
Kochany Zeteserery, zleź z tej polityki,
Taki jesteś zdolny, ale taki dziki.
Nie kocham takiego. Brzydki.

Porucznik:
Luby. Zrozum twojego miłego
Przecież ja urosłem,
Wiele się zmieniło,
Wszak już byłem posłem
I, jakby nie było,
Jestem oficerem . . .

Zygmunt:
Kochany Zeteserery,
A co ja? Do cholery.
Wszak wciąż toczę boje,
Przypomnę najważniejsze,
Przy nich bledną twoje:
stały bój z cenzorem,
z Nagórskim juniorem,
walka z obiadami
i samochodami.
Bitwa w sprawie kata,
narzędników konfiskata,
teraz bój z biskupem.
Oto moje łupy.
A po Watykanie . . .

Porucznik:
Brak sensacji w planie?
Chcesz ożywić "Wiadomości,"
Szczyt skromności. Ja rozumiem.
Zwróć się do mnie.
Ja ci wyrżnę coś takiego,
Że znów dźwignę Grydzewskiego.
Będą jedni: "Hańba" wołać,
Inni będą znów prostować.
Mam tytuł na serie nowe:
"Rosja przez okna hotelu"
I "Rosja przez stół bankietowy."
Chodźmy.



Zygmunt:
Dokąd?

Porucznik:
W kierunku . . . Alei milionerów.

Zygmunt:
Kochany. Powiedz prawdę szczerą,
Co znaczy ta zmiana tonu?

Porucznik:
Frontem do Kensingtonu.

Zygmunt:
Chciałbyś mnie . . . wziąć?

Porucznik:
Jak mawiał mój przyjaciel
Szmatławiewów:
"Trzeba w żagle w porę dąć."

Zygmunt /stopniowo mięknie/:
Chodźmy. Właściwie to będzie normalne,
Właściwie nie miałem nigdy specjalnych
Kłopotów cenzuralnych.

Porucznik:
Od Narwiku co do oficerów odmieniłem
zdanie . . .
/zerka na własne gwiazdki/

Zygmunt:
No widzisz, kochanie.
Grunt intencja.

Głos Kolina z przestworzy:
Trzymaj się Zygmuś:
Papier i subwencja.

Zygmunt /bierze Porucznika pod rękę/:
Stałość przekonań
To przesąd starej, rzymskiej ery—
Prowadź Zeteserery.
/Wchłania ich mgła Kensingtonu/
/Do szopki wchodzi nowa para/

Snobpolski:
Mam recenzję w "Richmond Newsie" . . .

Protegopieni:
A ja wywiad w "Deli-Mieli" . . .

Snobpolski:
Moją wielkość uznać musisz . . .

Protegopieni:
Moją fotkę w "Dispatch" wzięli.

Snobpolski:
A więc zatem trafem takim
Spotkali się . . .

Protegopieni:
Najskromniejszy malarz . . .

Snobpolski:
Z najcichszym śpiewakiem.

Protegopieni:
Charaszo. Co słychać nowego?

Snobpolski /wyniośle/:
Maluję Króla

Protegopieni /dumnie/:
Króla spiewaków? To znaczy sia mnie?

Snobpolski:
Nie. Króla perskiego.
/pokazuje obraz/

Protegopieni:
A hi! A gdziesz pan masz jego?
Taż to same plamy. Jakieś kłębowisko
Jej Bohu. Wsio rawno. Nie poznasz
i blisko.

Snobpolski:
To nowa szkoła: "Snobpolskizm."
Malarstwo szaradowe.
Głowa tam, gdzie ręka,
Noga zamiast głowy.
Kompozycja stosowana.

Protegopieni:
Niczewo, proszę pana.
Ot ja nie rozumiem jednego twojego
obraza,
Jakieś cieńkie nóżki, kółka pan namazał,
Lepiej pan nie umie?

Snobpolski:
Mówią, że jestem Van Dyck
Że ja drugi Goya . . .

Protegopieni:
Van Dyck—ja znaju—fotograf był
w Warszawie.
Co do goja. Charaszo w tej sprawie:
Ja lubię z gojami.

Snobpolski:
A co myśli mistrz o El Greco?

Protegopieni:
W El-Greco nie byłem,
Pod El-Alamein walczyłem.
Miałem być pod El-Agheilą,
Lecz nie było jeszcze celu,
Do Londynu mnie wezwali . . .

Snobpolski:
Krzyż z mieczami panu dali

Protegopieni:
Sztyry krzyży mam nadane . . .

Snobpolski:
A publika krzyż ma z panem.

Protegopieni:
A dlaczego? Że przemawiam?
A ja gorszy, jak Kiepura?
Polityki nie uprawiam,
U mnie lepszy dół, niż góra.

Snobpolski:
Niech pan stoi chwilę równo
Podszkicuję trochę mistrza . . .

Protegopieni:
Panie z tego wyjdzie . . . zero
Zamiast mnie—kryska i zgliszcza.

Snobpolski:
Niechaj mistrz się już nie gniewa.
Ja maluję. Proszę śpiewać.
/Snobpolski maluje, Protegopieni śpiewa na nutę: "Burłaków"/

Protegopieni:
Ej, uchniem. Basem gruchniem.
Odznak rzędy. Tam i tędy.
Spiewał ja pod Tobrukiem w piasku tyż,
Spiewał ja w Dorchesterze—więc jest
krzyż,
Oj w Amerycy Kiepurze zaświcy,
Z żalu spuchnie.
Ej uchniem.

Snobpolski /skończył malować/:
No? Co?

Protegopieni:
A to kto?

Snobpolski:
Pan nie poznaje?

Protegopieni:
Widoczek z Rasieji, tak mi się wydaje?
"Powitanie szefa sztabu"?
Może . . . "Uliczka w Buzułuku"?

Snobpolski:
To przecież pan jest, mistrzu,
Pan. "Śpiewak Tobruku."

Protegopieni:
A te kryski, te ruiny?
Te kropki, te chmury?

Snobpolski:
To żeby dobić jeszcze więcej samego
Kiepurę.

Protegopieni:
Tak to co innego. Teraz już kapuję.
Może pan coś więcej w tym celu
namaluje?
Na przykład: ja na bombie czasowej
śpiewam arię z "Halki"

Snobpolski:
Chodźmy. Czas omówić problem:
"Malarstwo — jako środek walki."

Protegopieni:
Charaszo. Ot i takim znakiem
Pogodzili się: najskromniejszy malarz . . .

Snobpolski:
Z najcichszym śpiewakiem.
/Wychodzą/
/W szopce świta, ale w głowach nie. Z dziury wyłazi Punchinello, powraca wiatr, który wiał na początku/

Punch:
Tyle wiatru, skąd ten wiatr?
Aż nasza "mist" rzednie . . .
Nawet wiatr swój w Anglii mają.
Tak! To naród przedni!
/Wiatr polski porywa angielską mgłę i hula po szopce jak szalony/
Co też wam się śni?
Skąd spraw gra i splot,
Gdy przed wami dziś taki długi lot—
To be or not to be . . .
/Puchacz odzywa się ponuro/

Punch:
Czy Punch z was dziś drwi?
Nie. Choć widzi zło,
Lecz zamyka drzwi—
Wraca w "Puppet-show" . . .
To be—or not to be.

napisał WIKTOR BUDZYŃSKI
rysunki w tekście
ANTONIEGO WASILEWSKIEGO

ZESTAWIENIE TREŚCI ZA ROK 1942

* W tym połączeniu które zachowujemy podobnie, jak w roku poprzednim—jest dowolność podyktowana względami praktycznymi. Usprawiedliwia ją rozkaz Naczelnego Wodza traktujący służbę na statkach handlowych w czasie wojny jako służbę żołnierską i liniową.

W. Z.S.R.R.

Anders Generał: Echo z Rosji. List dowódcy Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R., 2.
Bojczuk Ludwik: Polacy z Rosji dołączają do naszych szeregów, 24.
Bulsiewicz Tadeusz J.: Jest mi zimno i źle /" W marszu "/, 8.
Czarnecki Kamil Bogumił: " Przetrwamy i zwyciężymy," 20.—W sprawie artykułu " Przetrwamy i zwyciężymy," 24.
Cieciura Antoni: List Polaka z Rosji, 50.
Danilewiczowa Maria: Listy Polaków z Rosji, 41.
En. Jot. /O.R.P. " Piorun "/: O korespondencję z Polakami w Rosji, 8.
Fryd Józef: Podsłuchane, 8.
Ginsbert Julian: " Polska Walcząca " w Rosji, 50.
Hinterhoff Eugeniusz: Wywiad z gen. Andersem, 20.
Iwański Piotr: Powstała nowa jednostka, 14-15.
Kiersnowski Ryszard: Żołnierze polscy za zwrotnikiem Koziorożca, 46.
Lisiewicz Olga: Wigilia 1940 w Rosji, 52-53.
Michułka Stanisław: Prawda w oczy /" W marszu "/, 8.
Ochotniczka: Obóz na wysokim wzgórzu /" Ochotniczka "/, 14-15.
Ostrowski Wiktor: W piątej dywizji /" Orzeł Biały "/, 8.
Siwecki Jan: Ze wspomnień obozowicza /" W marszu "/, 8.
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław: Jak powstał " Orzeł Biały," 51.
Szczyrek Jan: O Polakach w Rosji, 38.
Terlecka Halina: Tak zwane " Pestki," 49.
Złotogórski Józef: Apel—strzelec do strzelców /" W marszu "/, 8.
Zof-Ka: W sprawie nawiązania korespondencji z rodakami w Rosji, 14-15.
Wojsko Polskie w odbudowie: Z.S.R.R., 14-15.
Z obozów zesłania do szeregów żołnierskich: Armia Polska w Z.S.R.R., 8.

W KANADZIE

Adamowski Jan: Ochotników odsyłamy do U.S.A. /Korespondencja własna/, 2.
Kowalski Jan: Sylwetki żołnierskie, 10.
Piwarski Zenon: Armia Polska w Kanadzie /Korespondencja własna/, 10.
Wańkowiczówna Marta: Siła w trudach " /Korespondencja własna/, 17.
Wilczek E.: Pozdrowienie z Kanady, 1.

POLACY W BRYTYJSKIEJ AFRYCE ZACHODNIEJ

Bielski Lucjan: Żołnierze Brygady Spadochronowej na Czarnym Lądzie, 40.
Czarnecki Kamil Bogumił: Polacy w Brytyjskiej Afryce Zachodniej, 9.
Michałowski Jerzy: Afryka woła: I, 50; II, 51.

POLSKIE TRADYCJE WOJSKOWE

Eques: Duch nieśmiertelnej broni /artyleria konna/, 33.
Jurewicz Eugeniusz: Wspomnienia bydgoskie /spadochroniarze/, 11.
Wojciechowski Wiktor A.: Generał Józef Karge, 51.

PRASA WOJSKOWA

Jaworski Adam: Pomóżmy " Co Słychać," 46.
K.B.: Przegląd prasy wojskowej, 9.
Lechnicki Klemens: " Polska Walcząca " na Bliskim Wschodzie, 36.
Lektor: Przegląd prasy wojskowej, 12.
Miecz: Jednodniówka lotnicza, 22.
Terlecki Tymon: Trzylecie " Polski Walczącej," 48.
Tyśmienicki Ludwik: List do redaktora " Polski Walczącej," 48.
Zbyszewski Karol: Jak to było na początku /o " Polsce Walczącej "/, 48.
Cytat z pierwszego numeru " Polski Walczącej ", wydanego w obozie polskim w Coëtquidan, 48.

KSIĄŻKI O WOJNIE I WOJSKU

Bogusławski Antoni: W sprawie książki " Nad Marną i Loarą," 14-15.
Jurkowski Stefan: Piękny pamiętnik żołnierski /" Nad Marną i Loarą "/, 8.
Kossak Stefan " Obrona dynamiczna," 5.
Skibiński Franciszek: " Wrzesień w Polsce," 13.
Sterbałła Adam: " Dziennik oficera sztabu," 16.

ROZKAZY, PRZEMÓWIENIA, LISTY OFICJALNE, WYWIADY

Naczelny Wódz Gen. Sikorski Władysław: Rozkazy: Rozkaz nr. 2.—po powrocie z Rosji i Bliskiego Wschodu, 4.—Rozkaz nr. 7, 23.—Rozkaz nr. 13, 33.—Rozkaz nr. 14, 33.—Rozkaz nr. 24—na dzień 14 czerwca, 24.—Rozkaz do Lotników, 25.—Rozkaz nr. 18, 40.
Przemówienia i wyjątki z przemówień: Z przemówienia do żołnierzy po powrocie z Rosji i Bliskiego Wschodu, 10.—Do Polaków—przemówienie radiowe po podróży do Ameryki, 17.—Wojsko Polskie w Z.S.R.R. /z przemówienia na posiedzeniu Rady Narodowej/, 34.
Wywiad specjalny dla " Polski Walczącej " po pobycie u Wojsk Amerykańskich w Irlandii, 30.
Wyjątki z wywiadu udzielonego prasie angielskiej po powrocie z Rosji, 3.
Depesza Gen. Auchinlecka do Gen. Sikorskiego z okazji rocznicy konstytucji 3-go Maja, 19.
Depesza Gen. Marshalla do Gen. Sikorskiego z okazji rocznicy Konstytucji 3-go Maja, 19.
Z odezwy Króla Haakona VII, wydanej 19-go maja 1940 w północnej Norwegii, 21.
Z przemówienia Min. Neumanna do narodu norweskiego, 21.
Z przemówienia Gen. Modelskiego na Radzie Narodowej, 26.

ŻYCIE KRAJU POD OKUPACJĄ

Danilewiczowa Maria: Niedola książki polskiej, 46.
Leskowiec Karol: Prasa podziemna w Polsce, 3.—Suwalszczyzna i Północne Mazowsze—1941, 17.
Ordęga Adam: Tragiczna próba inteligencji polskiej, 3.—" Parobczańskie " bohaterstwo, 4.—Straty inteligencji polskiej, 40.
Wójcicki Antoni: Patrzaj w serce . . . Kraju, 30.
Zaleska Zofia: Męczeństwo kobiet polskich, 34.
Dwie armie polskie /z prasy tajnej/, 30.
Z poezji konspiracyjnej, 3.

POLACY W NIEWOLI I W OBOZACH INTERNOWANYCH

Bogusławski Andrzej: Wigilia na internowaniu, 52-53.
Brzeszczot Feliks: Głos z Szwajcarii, 36.
Jeden z internowanych: W sprawie radia dla internowanych w Szwajcarii, 36.
Koszyk Jan: List z Szwajcarii, 3.
" Kriegsgefangener No.* "**: Trzeci Maja w Stalagu ***B, 18.
N.N.: List z Hiszpanii o Mirandzie i " Polsce Walczącej," 19.
Ordęga Adam: Radio dla internowanych w Szwajcarii, 24.—Praca i nauka, 28.
Piotrowski Marian: Za drutami obozów: I. Oflagi i Stalagi, 24.—II. Jeńcy polscy, 25.—III. Polacy, Anglicy, Belgowie, 30.—IV. Po klęsce jugosłowiańskiej, 36.—V. Związki z krajem, 41.—VI. Propaganda wśród jeńców, 43.—VII. Wojna z Rosją nie była w Niemczech niespodzianką, 45.
R.J.: W Herisau /" Goniec Obozowy "/, 28.
S.Ł.: Wakacje pracowite /" Goniec Obozowy "/, 28.
Wroński Witold: Wywożę kamienie z ogrodu, 47.
Ofiarność internowanych w Szwajcarii, 33.
W szwajcarskich obozach internowania, 28.
Ze Szwajcarii, 21.

POLONIA ZAGRANICZNA

Bojczuk Ludwik: Chłopcy z Ameryki, 21.—" Kumotry " zza Oceanu /Korespondencja własna/, 42.
Dembicki Franciszek: Z Argentyny, 21.
Długajczyk Franciszek: Korespondencja z Ameryką, 26.
Dzim Roski: Reportaż z Brazylii /Korespondencja własna/, 6.—Pochwała Polonii Brazylijskiej /Korespondencja własna/, 41.—Brazylijska meta Skarżyńskiego /Korespondencja własna/, 43.
Gitlin Jan: Ochotnicy z Ameryki /Opowiadanie uczestnika pierwszego transportu/, 10.
Kaczyński X. Zygmunt: Postawa Ameryki i Polonii, 26.
Kotkowski Gustaw: Listy z Argentyny o ochotnikach do Wojska Polskiego /Korespondencja własna/, 47.
Krawczyk Feliks: W sprawie sztandaru ochotników z Ameryki Południowej, 36.
K.R.: " Listy z Ameryki," 46.
Kwiatkowski Michał: Z emigrantów—żołnierze, 41.
Laszkowski Jerzy: " Listy z Ameryki . . .," 23, 40.
Ligocki Edward: Dwa mundury: polski i amerykański, 42.
L.N.: List do redakcji Polki z Buenos Aires, która przesłała do Anglii pasiak łowicki dla świetlicy eskadry lotniczej, 19.
Mandorf J.: W sprawie wysyłki książek dla Polonii, 9.
Ołdakowski Edward: Żołnierze z pod Krzyża Południa /W rocznicę przyjazdu pierwszych ochotników z Ameryki Południowej/, 34.
Ordęga Adam: Co myślą i piszą Polacy w Ameryce, 2, 22.
Pobóg Ryszard: Młodzież polsko-amerykańska, 20.
Tyśmienicki Ludwik: Ochotnicy z Ameryki Południowej, 34.—Miły gość Polskich Sił Zbrojnych, 42.
Wańkowiczówna Marta: My was tu mamy za braci /Korespondencja własna/, 42.—List bardzo otwarty /Korespondencja własna/, 50.
Wodzicki Kazimierz: Dwa listy z Nowej Zelandii, 42.
Wojciechowski Wiktor A.: Uczcijmy pamięć gen. Kargego, 36.—Generał Józef Karge, 51.
Wójcik Władysław: Armia wychodźcza Ameryki /Korespondencja własna/, 1.—Płyniemy ku wam, 10.—Wy i my: dwie emigracje /Korespondencja własna/, 17.—Ochotnicy z Brazylii /Korespondencja własna/, 47.
List redaktora " Nowego Świata " do Wiktora Budzyńskiego, 49.

ŻYCIE POLITYCZNE, SPOŁECZNE I KULTURALNE EMIGRACJI W WIELKIEJ BRYTANII

Bogusławski Antoni: W obronie własności autorskiej, 36.—zob. Gilewski Roman: Wyjaśnienie, 49.
Ciołkosz Adam: Rada Narodowa i inwalidzi, 22.
Janowski Aleksander: Na otwarcie Rady Narodowej, 9.
J.N. pdchr. dr.: W sprawie pracy kobiet w szpitalach, 31.
Karasiewicz Władysław: W sprawie inwalidów wojennych, 21.
Kisielewski Józef: W sprawie pisowni pewnych nazw niemieckich, 29.
Leśniowska Zofia: W sprawie kobiet na emigracji, 31.
Piątkowski Urban Kazimierz: Prasa polska z dystansu, 50.
Żywoń Edward: O poziom prasy emigracyjnej, 30.
Kierownictwo Ośrodka Korespondencyjnego Kursu Handlowego: Apel o pożyczenie książek, 4.
Organizacja Sokolstwa Polskiego w Anglii, 37.
Sprawy harcerskie, 51.
Trzymiesięczny kurs Służby Społecznej Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet Polskich, 16.
W odpowiedzi p. Mackiewiczowi, 22.
Z korespondencji ś.p. Mastka, 23.

POLSKIE DĄŻENIA I CELE WOJENNE

Dmochowski Zbigniew: Harkabuz—rzecz o budowie wsi, 22, 23.—W sprawie " Harkabuza," 24.
Grabowski Zbigniew: Sprawa Bałtyku, 43.
Grabski Stanisław: Ku lepszej Polsce, 14-15.
Korytowski Karol: O bagaż powrotny, 27.
Piłsudski Rowmund: Polskie zagadnienia morskie, 27.
Pogłódek X. Konstanty: W sprawie " Harkabuza," 24.
Szerer Mieczysław: Polskie cele państwowe, 45.
Tirika Antoni: W sprawie " Harkabuza ", 30.

WIEDZA O WIELKIEJ BRYTANII, IMPERIUM BRYTYJSKIM I STANACH ZJEDNOCZONYCH

Graham Alan: List od angielskiego przyjaciela, 1.
Janowski Aleksander: Święto gwiaździstego sztandaru, 24.
Jeśman Czesław: Singapore — Miasto Lwa, 2.—Indie w granicach Imperium, 12.—Indie w zasięgu wojny, 13.—Siła Zbrojna Stanów Zjednoczonych: I, 14-15; II, 16.—Gibraltar Australii—Port Darvin, 22.—Stany Zjednoczone — Anglia—Francja, 24.
J.S.B.: " Anglo-Polish Reading Circle," 14-15.
Łagniewski Lucjan: O Anglii i Anglikach—Lekcja demokracji, 9.
Oścień Cezary: W gościnie u wojsk amerykańskich, 30.
Pasek Zygmunt: F.A.N.Y., 50.
~~**Pobóg Ryszard**: Marszałek Smuts,~~ 46.
Pomian Bolesław: Moja Anglia i moi Anglicy, 44.
Poznański Czesław: Franklin Delano Roosevelt: I, 6; II, 7; III, 8.
Przeczowski Mieczysław: Bitwa Jutlandzka 31 Maja 1916 roku, 23.
Sokołów Florian: Co to jest gentleman, 9.
Stańczyk Jan: Co myśli Amerykanin o wojnie i pokoju, 19.
Synkowski Marian: Mac Arthur Filipiński, 12.
Szerer Mieczysław: Angielski pokład uczciwości, 7.
Wieniewski Ignacy: Jesteśmy dziećmi jednej kultury, 20.
Lincoln's Memorial w Waszyngtonie /fotografia, tekst angielski i polski/, 14-15.
Pomnik czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych /fotografia i objaśnienie/, 24.
Wywiad z gen. Sikorskim po wizycie u wojsk amerykańskich, 30.

PRZYJAŹŃ POLSKO-SZKOCKA

Nagórski Zygmunt jr.: Żołnierze polscy kochają dzieci, 12.
Tyśmienicki Ludwik: O przyjaźni polsko-szkockiej /Rozmowa z ministrem Spraw Wojskowych gen. Marianem Kukielem/, 44.

POLSKA I NARODY SPRZYMIERZONE

E.E.L.: Dni polsko-angielskie w Bradford, 27.
Kożusznik Bogusław: W dziesiątą rocznicę startu do wieczności, 38.—28 października, 43.
Lachowicz Jan: " Rozśpiewany pluton " — jugosłowiański, 18.
Miszewski Jan: Punkt ciężkości w stosunkach polsko-czechosłowackich, 2.
Rytter Olav: Polska i Norwegia, 21 /przekład **Janowskiej** Antoniny/.
Rzecki Andrzej: Spadochroniarze Wolnej Francji, 11.
Zawada Zygmunt: Spadochroniarze norwescy u polskich kolegów, 40.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Bogusławski Antoni: Człowiek Tatr i Bałtyku /ś.p. gen. Mariusz Zaruski/, 13.—Od ułana do dowódcy /ppłk. Litewski/, 31.—Żołnierz bez skazy /gen. Stefan Surzyński/, 32.
Budzyński Wiktor: Ostatnia rozmowa /z ś.p. ppłk. Skarżyńskim/, 30.
Olsza Tadeusz: Aktorzy na pogrzebie ś.p. Brumera, 3.
Po śmierci Mieczysława Mastka, 22.

WIERSZE, PIEŚNI I PROZA POETYCKA

Andrzejewski Bogumił: Dziwy niebieskie w Tobruku, 52-53.
Baliński Ignacy: Wojna, 47.
Baliński Stanisław: Wiersze /Ogród podczas wojny. Szkocki las/, 51.
Bogusławski Antoni: Na odcinku, 5.—Trzeci Maj /Warszawa 1891/, 18.—Rycerze z nieba /Pieśń Brygady Spadochronowej/, 40.—Tulon, 49.
Budzyński Wiktor: Druga szopka bez-blackoutowa, 52-53.
Eugeniusz Roman: Chłopcy z nieba, 11.—Nie chcę powrotu, 21.—Zwycięska parada, 23.—Skaczemy, 40.
Faczyński Jerzy: Alarm pod Betlejemską Gwiazdą, ***, 1.—O czym tu marzyć, 8.
Gilewicz Marian: Rozmowa z dziewczyną, 11.
Hemar Marian: Defilada, 16.—Piosenka dla R.A.F.'u " Deutschland, Deutschland ueber alles " . . ., 19.—Grunwald, 29.
Kiersnowski Ryszard: Na pokładzie M/S. " Batory," 42.—Testament poległych, 44.
Kłodowski W.S.: Modlitwa, 1.
Kowalski Adam: Święty Boże, 6.—Proszę Panów, 10 /por. list autora w sprawie tego wiersza, 21/.—Zjazd weteranów, 26.
Lisiewicz Mieczysław: Dyskusja o Lwowie, 33.
Malinowski-Litta Antoni: Pieśń o B.S.K. /" Ku wolnej Polsce"/, 2.
OF.: Warszawa /Z wydawnictwa konspiracyjnego/, 3.
OR-SI: Czytając listy rodzin polskich odnalezionych w Rosji, 21.—" Lordowie," 28.
Pawlikowska Maria: Wiersze /Pejzaż pogodny. Wspomnienia z łąk. Maki obrodzą po wojnie/, 12.—Wiersze /Sen. Zazdrość/, 14-15.—Wiersze /Tajemnica. Pożar. Ranny. Dwaj grenadierzy. Co nam zostało. Wojna. Legenda Tatr. Kraków/, 41.—Wiersze wigilijne, 52-53.
Pawlikowski Mieczysław: Poranek na lotnisku. Nieunikniona baza, 29.—Dwie tęsknoty, 42.
Rostworowski Jan: Sen i wystrzał: I, 48; II, 49.
Terlecka Halina: Spowiedź ojczyźnie /" Orzeł Biały "/, 3.
Wierzyński Kazimierz: Zielone jeziora. Wieczór nowojorski, 1.
Zwoliński Wiktor: Sen o karabinie, 8.

PROZA BELETRYSTYCZNA I DRAMAT

Malinowski Witalis: Zew ojczystego kraju, 16.
Naglerowa Herminia: Tu jest Polska /akt I/, 52-53.
Zahorska Stefania: " Uwaga! uwaga! przeszedł . . .," 14-15.

FELIETONY—PROZA HUMORYSTYCZNA

Bill: Pas cnoty, 1.—Fata mrugana, 12.
Budzyński Wiktor: Bez black-outu, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 13, 14-15, 16, 17, 18, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 27, 28, 29, 31, 33, 35, 37, 38, 48, 49, 50.—Do Pana Gwasza, 39.
Pobóg Ryszard: Przygody Walentego Pompki, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51.
Porucznik Herbert: Pryszczyk wieje poraz drugi, 26.

RYSUNKI I FOTOMONTAŻE

Borysowicz Zdzisław: Pomóż Polakom w Rosji, 6.—Polska błaga o Zmartwychwstanie, 14-15.—Ozdobniki, 14-15, 27.—Odwet nadchodzi, 35.
Dmochowski Zbigniew: Kościół i ratusz w Harkabuzie, 23.
Dmochowski Zbigniew, Kowalczewski Stanisław, Kątski Stefan, Faczyński Jerzy: Z projektu Harkabuza, 22.
Faczyński Jerzy: Lotnicy w wieczór wigilijny (linoryt), 1.—Celem naszym jest Polska, 18.—3 rysunki do artykułu o Harkabuzie, 22.—Walczymy o sprawę sprzymierzoną, 39.—Samolot o świcie, 39.—Ozdobnik, 45.—zob. Dmochowski Zbigniew.
Franaszczuk Tadeusz: Idziemy do was—pomóżcie (afisz), 9.
Gramski Wacław: 4 rysunki humorystyczne z życia spadochroniarzy, 11.—Jeż i spadochroniarz, 11.
Horowicz Artur: Wellington w locie, 6.
Jeruzalski Tadeusz: Afisz wykonany w Z.S.R.R., 20.
Kątski Stefan: Naczelny Wódz na ćwiczeniach spadochronowych (reprodukcja obrazu olejnego ofiarowanego przez Brygadę Spadochronową Muzeum Wojska Polskiego), 11.—zob. Dmochowski Zbigniew.
Kossowski Adam: Boże Narodzenie /linoryt/, 52-53.
Kowalczewski Stanisław: 7 rysunków z życia Spadochroniarzy, 11.—zob. Dmochowski Zbigniew.
Lipiński Jerzy: Działo na wybrzeżu (drzeworyt), 36.
Lipski Tadeusz: Ozdobniki, 1, 14-15, 22, 24, 29, 43.—Fotomontaż powięcony Naczelnemu Wodzowi, 26.—Trzylecie " Polski Walczącej ", 48.
Liszkowski Wacław: 2 rysunki z " Gimnazjum Wojskowego," 18.
Osiecki Stefan: " Błyskawica " w sztormie (układ fotografii), 5.—Musimy przeważyć szalę (fotomontaż), 9.—Ozdobniki, 26, 52-53.
Poliński Jan: Pomóż Polakom w Z.S.R.R., 13, 21, 31.—Artyleria przeciwlotnicza 1939 r. (fotomontaż), 24.—Lotnictwo myśliwskie (fotomontaż), 29.—Artyleria (fotomontaż), 31.—Pomóż Rodakom, 41.
Rościszewski Jan (Tom Titt): Generał Wavell, 6.
Smarzewski Marian: Dwa orły, 17.—Pomóż Polakom w Rosji, 42.
Sterling Jan: 3 rysunki do opowiadania " Nasz Wicek w Klipie " Czereśniewskiego, 22.
Szyk Artur: " Nowy Ład ", 9.
Walentynowicz Marian: Sztandar Stanów Zjednoczonych, 24.—Przygody Walentego Pompki, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51.
Wiechecki Ludwik: Przetrwamy! (projekt afisza), 1.
Afisz wydany przez " Orła Białego," 51.
Herb Pomorza, 24.
Odznaka Spadochroniarzy, 11.
Wodzowie w akcji (humorystyczny rysunek z Dywizjonu 306), 38.

DOKUMENTY

List posła Alana Grahama do czytelników " Polski Walczącej," 1.
Ogłoszenie radia w Chwile z programem polskim, 1.
Afisz zebrania b. kombatantów w Wellington w sprawie polskiej, 1.
" Orzeł Biały "—pismo Armii Polskiej w Z.S.R.R. (nagłówek), 3, 51.
Pierwsza strona tajnego pisma " Polska Walczy " z artykułem " Będziemy parobkami ", 3.
" Przy kierownicy w Tobruku "—okładka pisma frontowego, 4.
" Żołnierz w polu "—nagłówek jednego z pism obozowych w Z.S.R.R., 8.
Strona gazetki ściennej żołnierzy polskich w Z.S.R.R.—Strona gazetki ściennej Ośrodka Nr. I w Buzułuku, 8.
Mapa przedstawiająca trasę Gen. Sikorskiego z Londynu do Moskwy, wykonana przez żołnierzy w Z.S.R.R., 10.
" Wiadomości Polskie "—pismo tajne w kraju /nagłówek/, 12.
Mapa Suwalszczyzny, Północnego Mazowsza i Prus Wschodnich /z " Voelkischer Beobachter "/, 17.
List Gen. Andersa do redaktora " Polski Walczącej " w sprawie zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, 20.
List Gen. Kopańskiego do " Polski Walczącej " z pozdrowieniami dla żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, 21.
" Goniec Obozowy " /nagłówek/.—Dodatek angielski do pisma internowanych w Szwajcarii, 28.
List prezesa Polskiego Czerwonego Krzyża do redaktora " Polski Walczącej " w sprawie zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, 29.
" Pisane na wyspie "—gazetka ścienna żołnierzy przybyłych z Rosji, 30.
" Antologia poezji współczesnej "—druk konspiracyjny wydany w kraju /karta tytułowa/, 30.
" Goniec Obozowy "—pismo dla internowanych w Szwajcarii /wycinek z nr. 37/, 33.
" Zew "—tygodnik wydawany w Teheranie /nagłówek/.—" Polak w Iranie " /nagłówek/, 37.
Autograf z pozdrowieniami Polaków służących w Marynarce Amerykańskiej dla Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, 42.
List Gen. Mariana Kukiela z okazji trzylecia " Polski Walczącej ", 48.
Adres Komendantki F.A.N.Y. p. Diany Tauber do żołnierzy polskich, 51.—Autograf Gen. Józefa Kargego, 51.

MAPY

Borysowicz Zdzisław: Szlaki handlu morskiego dawnej Polski.—Śląsk z Odrą i Wisłą, 27.
Mapa Dalekiego Wschodu pokazująca kluczowe położenie twierdzy Singapore. — Najbliższe okolice Singapore, 2.—Wyspy Filipińskie, Indochiny i Siam, 5.—Zatoka Siamska, 6.—Wyspa Singapore, 7.—Australia, 9.—Półwysep Bataan i wyspa Corregidor, 12.—Indie i Ocean Indyjski, 12.
Dwa szkice działań Brygady Podhalańskiej w Norwegii, 16, 21.

FOTOGRAFIE

Polska 1918-1939: Gen. Sikorski jako dowódca Grupy Poleskiej na froncie /2 fot./, 26.—Kępa Oksywska, 26.—Fragment " Elki " w Gdyni /Święcicki Ludomir/, 27.—Święto Morza na wybrzeżu polskim, 27.—Gdynia—dzieło polskich rąk /2 fot./, 27.—Szkoła Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, 31.—Samolot pasażerski " Lotu ", 32.—Westerplatte, 35.—Herbowy lew Lwowa, 35.—Zamek Królewski w Warszawie przed zniszczeniem, 35.—Ratusz na Rynku poznańskim, 35.—Grób Żwirki i Wigury, 38.—Statki na redzie portu gdyńskiego, 43.—Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie /W. van der Poll/, 45.
Kampania polska: Artyleria przeciwlotnicza 1939 r. /fotomontaż Polińskiego Jana/, 24.—Dowódca Westerplatte. Fragment Westerplatte po oblężeniu, 35.—Stanowisko artylerii przeciwlotniczej pod Lwowem, 36.
Kampania norweska: Z podróży do Norwegii i walk pod Narwikiem /19 fot./, 14-15, 17, 18, 20, 21.
Kampania libijska: Zob. Bliski i Środkowy Wschód.
Lotnictwo Polskie: Z Dywizjonu Wileńskiego /3 fot./, 10.—Szkoła Pilotażu /2 fot./, 4.—Balon, 13.—Zbiórka na pomoc dla Polaków w Rosji w 307 Dywizjonie Myśliwskim, 14-15.—Święto dwu Dywizjonów Bombowych /11 fot./, 19.—Bombowce polskie /2 fot./, 25.—Śp. ppłk. Skarżyński, 30.—Zbiórka dla Polaków w Rosji w 16-ej Szkole Pilotażu, 25.—Lotnictwo myśliwskie /fotomontaż Polińskiego Jana/, 29.—Strzelec w wieżyczce tylnej, 31.—Polski Spitfire, 32.—Dekoracja lotników Dywizjonu Poznańskiego, 32.—Ppor. CH.—jeden z bohaterów z nad Dieppe, 36.—Z życia na lotnisku /2 fot./, 38.—Jeden z samolotów Dywizjonu 303 i niemiecki " Krzyż żelazny ", 38.—Gen. Sikorski wśród lotników Dywizjonu Lwowskiego, 39. Wellingtony /2 fot./. Po zatopieniu okrętu podwodnego, 41.—Mechanicy przy samolocie myśliwskim, 45.
Polska Marynarka Wo-

jenna i Flota Handlowa: "Błyskawica" w czasie sztormu /5 fot. Buchowskiego Witolda, układ Osieckiego Stefana/, 5.—Z życia i walk Marynarki Wojennej /11 fot./, 7.—Dział polski na wystawie marynarek wojennych narodów sprzymierzonych /2 fot./, 14-15.—Marynarz na maszcie, 18.—Typ polskiego marynarza. Rufa okrętu, 20.—Z rejsu /3 fot./, 25.—Z życia Marynarki Handlowej /5 fot./, 27.—"Kujawiak" /2 fot./, 29.—Odpoczynek po wachcie. Praca w maszynowni, 33.—"Garland" w eskorcie konwoju /4 fot./, 34; /1 fot./, 36; /5 fot/, 39; /2 fot./, 51.—Wiceadm. Świrski dekoruje członków załogi "Garlanda", 42.—

Wojsko lądowe w Wielkiej Brytanii: Prezydent R. P. w Brygadzie Spadochronowej (2 fot.), 1.—Mecz footballowy z Norwegami, 2.—Ołtarz artylerzystów, 3. —Z ćwiczeń czołgowych (7 fot.), 6. —Z pobytu Prezydenta R.P. w polskim pociągu pancernym, 8.—Orkiestra I Brygady, 8.—Obóz ochotników z Ameryki, 10.—Naczelny Wódz wśród żołnierzy po powrocie z Rosji, 10.—Z życia Brygady Spadochronowej (15 fot.), 11.—Votum Spadochroniarzy, 11.—Naczelny Wódz przed frontem oddziałów po powrocie z Ameryki, 16.—C. R. Attlee i Gen. Anders w Brygadzie Spadochronowej (2 fot.), 19.—Ochotnicy z Ameryki (3 fot.), 21.—Polacy z Rosji w Szkocji (5 fot.), 24.—Święto sztandarów alianckich (2 fot.), 27.—Prezydent R. P. na kursie pracy oświatowej, 29. — Podchorążowie artylerii, 28.—"Burek", 32.—Żołnierz na warcie, 33.—Stanowisko artylerii przeciwlotniczej, 36.—Z życia Brygady Spadochronowej (11 fot.), 40.—Polacy z pancernika amerykańskiego w gościnie u przeciwlotników (2 fot.), 42.—Z ćwiczeń wojsk łączności (2 fot.), 43.

Życie umysłowe żołnierzy: Wręczenie świadectwa dojrzałości maturzystom Batalionu "Szkockiego", 3.—Saperzy słuchają muzyki, 5.—Polska Y.M.C.A., (3 fot.), 9.—Argentyńska gazeta w Szkocji, 10.—Dzieci szkockie w gościnie u saperów, 12.—Z "Forces Exhibition" w Londynie (2 fot.: Hennelt, Ruszkowski), 14-15.—Z otwarcia studium prawno-administracyjnego, 14-15.—Z wystawy "Through Polish Eyes" w Edynburgu (Paweł Miller), 26.—Lotnicy czytają "Polskę Walczącą", 30.—Z redakcji "Dziennika Żołnierza" i "Werinajs" (2 fot.), 33.—Z Domu Żołnierza Polskiego w Londynie (3 fot.), 34.—"Polska Walcząca" na kwaterze. Żołnierz polski na odcinku czyta "Polskę Walczącą," 48.—Praca "Lwowskiej Fali" 10 fot., 46.

Bliski i Środkowy Wschód: W drodze do Tobruku, 1.—Z wizyty Gen. Sikorskiego w Legii Oficerskiej /5 fot./, 2.—Żołnierze Brygady Karpackiej w Tobruku i za Tobrukiem /9 fot./, 4.—Gen. Kopański. Pod Gazalą, /2 fot./, 21.—Gen. Zając na Środkowym Wschodzie, 23.—Brygada Karpacka w pustyni /2 fot./, 25.—Gen. Boruta - Spiechowicz. Ewakuacja Polaków z Rosji /3 fot./, 28.—Żołnierz polski w Palestynie, 32.—Junacy w Palestynie, 32.—Boże Ciało w Dywizji Karpackiej, 37.—Polacy w Teheranie /3 fot./, 39.—Z pobytu Gen. Klimeckiego na Środkowym Wschodzie, /2 fot./, 41. —Promocja podchorążych na Bliskim Wschodzie, 41.—Z święta Żołnierza Polskiego w Teheranie /3 fot./, 43.—Z życia armii polskiej na Środkowym Wschodzie /10 fot./, 45.

Polacy w Z.S.R.R.: Z podróży Gen. Sikorskiego do Rosji /4 fot./, 3.—Z życia armii polskiej w Z.S.R.R. /8 fot./, 8.—Obóz wojska polskiego w Z.S.R.R. /2 fot/, 14-15. —Gen. Anders. Polska piechota i artyleria w Z.S.R.R. /2 fot./, 20.—Polacy z Rosji przyjeżdżają do Szkocji /5 fot./, 24.—Wysiedleńcy polscy w Rosji /2 fot./, 25.—Wojsko Polskie w Z.S.R.R. /8 fot./, 34.—Namioty i ziemianki Polaków w Z.S.R.R. /2 fot./. Dzieci polskie z Rosji na nabożeństwie w Bombaju, 38.—Płaskorzeźba wykonana przez żołnierzy polskich w jednym z obozów w Z.S.R.R., 44.

Kanada: Armia polska w Kanadzie /3 fot./, 10.—Gen. Duch w Kanadzie /2 fot./, 17.—Obóz Wojska Polskiego w Owen Sound /2 fot./, 20.

W obozach internowania: W Algerze /5 fot./, 13.—Z życia internowanych w Szwajcarii /8 fot./, 28.—Internowani przy pracy w Szwajcarii /3 fot./, 47..

Polonia Zagraniczna: Sztandar Towarzystw Polskich przywieziony z Argentyny, 10.—Odznaka ochotników z Ameryki Południowej, 34.—Gen. Sikorski ogląda ryngraf przesłany z Brazylii, 41.—Polacy z Rosji w Nowym Jorku /2 fot./, 42. —Nabożeństwo żałobne za ś.p. Skarżyńskiego w Kurytybie /Kobza Wincenty/, 43.—Skarżyński w Brazylii, 44.

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone: Prezydent Roosevelt, 6.—Roosevelt składa przysięgę, 7.—Prezydent Roosevelt /fot. zadedykowana gen. Sikorskiemu/, 8. — Roosevelt i Churchill na "Prince of Wales," 8.—Gen. MacArthur, 12.—Monument Lincolna w Waszyngtonie, 14-15.—Churchill /fot. zadedykowana gen. Sikorskiemu/, 14-15.— Amerykański Korpus Ekspedycyjny r. 1917 w Londynie, 16.—Król Jerzy VI, 24. —Prezydent Roosevelt, 24.—Edynburscy przyjaciele, 44.—Gen. Smuts, 46.

Polska i Narody Sprzymierzone: Prezydent Meksyku —Manuel Avila Camacho, 1.—Przyjaźń polsko-australijska, 4.—Polacy i Australijczycy, 14-15.—Z plutonu jugosłowiańskiego /2 fot./, 18.—Polska i Norwegia /4 fot./. Gen. W. Hansteen, 21. — Gen. Sikorski i Willkie, 24.—Harcerze angielscy i polscy /2 fot./, 27.—Gen. Sikorski u Wojsk Amerykańskich /2 fot./, 30. —Prezydent R. P., Król Haakon i Gen. Sikorski, 32.—Min. Spraw Zagr. Meksyku — Don Ezequiel Padilla, 37.—Wręczenie dyplomu ukończenia kursu spadochronowego żołnierzom norweskim, 40.—Promocja Gen. Sikorskiego na doktora honorowego Uniwersytetu w Liverpoolu, 46.

NUMERY SPECJALNE

Numer poświęcony Polskiej Marynarce Wojennej /4 str./, 7.

Numer poświęcony polskim Wojskom Spadochronowym /12 str./, 11.

Numer poświęcony Polskiej Flocie Handlowej /6 str./, 27.

Numer poświęcony Polskim Dywizjonom Myśliwskim /4 str./, 33.

Numer wydany w pierwszą rocznicę rozpoczęcia prac przez Brygadę Spadochronową /4 str./, 40.

OD REDAKCJI

Życzenia dla "Orła Białego," 3.—W sprawie rezultatu zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, 7.—Wstęp do rozkładówki poświęconej Armii Polskiej w Z.S.R.R., 8.—Podziękowanie żołnierzom Brygady Spadochronowej, 11. — Życzenia Wielkanocne, 14-15. — Generałowie Anders i Kopański gośćmi Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii, 18. — Po śmierci Mieczysława Mastka, 22.—Wstęp do "Harkabuza," 22.—Do Marynarzy Floty Handlowej w Dzień Święta Morza, 27.—Na święto Lotników w dniu 16-go lipca, 29.—Gościna "Dziennika Żołnierza" i "Werinajs", 33. —Armia Polska na Wschodzie, 39.—Na 11-go Listopada, 45.—Wspaniały przykład ofiarności, 47.—Wstęp do wspomnienia o gen. Karge, 51.

Terlecki Tymon: Na Święto Marynarzy, 7.—Trzylecie, 48.

ZBIÓRKI PIENIĘŻNE

Kujawski Adam: List w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji, 5.—Jeszcze w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji, 8.

Mamrot Antoni: Pomoc dla Polaków w Rosji /list/, 1.

Ordęga Adam: W sprawie stosunku do Polaków w Rosji, 6.

Afisz propagandowy i listy zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, przeprowadzonej przez 307-y Dywizjon Myśliwski, 14-15.

Zbiórka na Polaków w Rosji w 16-ej Szkole Pilotażu /fot./, 25.

List Gen. Andersa do redaktora "Polski Walczącej" w sprawie zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, 20.

List prezesa Polskiego Czerwonego Krzyża do redaktora "Polski Walczącej" w sprawie zbiórki na pomoc dla Polaków w Rosji, 29.

Wspaniały przykład ofiarności, 47.

Pomoc dla Polaków w Rosji: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 9, 10, 11, 12, 13, 14-15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52-53.

Na jeńców polskich w Niemczech: 39, 40, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52-53.

Na internowanych w Mirandzie: 44, 46, 47.

Na Polish Relief Fund: 46, 51.

Na Polski Czerwony Krzyż: 48.

Na Ryngraf dla Myśliwca, 46.

PORADNIK ŻOŁNIERSKI 22, 24, 26, 28, 43.

Redaktor:
TYMON TERLECKI

Pomoc dla Polaków w Rosji: £6,757

MARYNARKA WOJENNA—POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £150 /sto pięćdziesiąt funtów/ na pomoc dla Polaków w Rosji.

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

Przesłane przez Miss Joan Andrews z Nottingham sh.11 /jedenaście sh./ dla żołnierzy tut. Szkoły przekazuję na fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £20 ze Świetlicy Lotniczej w N. na pomoc dla Polaków w Rosji.

Świetliczarka

Wiktorowi Budzyńskiemu, Drogiemu naszemu Kierownikowi, w dniu Imienin składamy najserdeczniejsze życzenia, a zamiast upominku przekazujemy 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Zamiast kartek z życzeniami świątecznymi dla naszych przyjaciół i życzliwych przesyłamy na pomoc dla Polaków w Rosji £2.

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

* * *

Dziękując gorąco WPanu Dr. Machowiczowi, lekarzowi Szpitala Woj. nr. 1 za przeprowadzoną operację, oraz siostrom oddziału chirurgicznego za opiekę, składam na pomoc Polakom w Rosji kwotę £1.

Fełba K.

* * *

Polacy z Southfield Sanatorium przesyłają zebraną kwotę £3 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Za ofiarodawców Lucjan O.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych dla krewnych, kolegów i znajomych załączam P.O. na sh.5 na pomoc dla Polaków w Rosji.

J.B.F.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej" zamiast życzeń indywidualnych i odwzajemnienia za otrzymane życzenia składa £2. na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

A.W. ofiaruje kwotę £1.17.6 na pomoc dla Polaków w Rosji, którą otrzymał jako honorarium za pogadankę radiową o Polskiej YMCA.

* * *

Przesyłam £4 na pomoc dla Polaków w Rosji.

M. Krzyżak

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £186.3.6 /słownie sto osiemdziesiąt sześć funtów, trzy szylingi i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £6.757.15.0½ /słownie sześć tysięcy siedemset pięćdziesiąt siedem funtów, piętnaście szylingów i pół pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 1 dolar amerykański i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Pozwalam sobie załączyć £2 /dwa/ z przeznaczeniem na Fundusz Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym w zamian tradycyjnych życzeń wysyłanych corocznie do Dców i Komendantów Polskich Oddziałów.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku oraz życzenia świąteczne i noworoczne.

Komendant Ośrodka Wyszkolenia Załóg Bomb 18. O.T.U.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych, dla krewnych, kolegów i znajomych przesyłam sh.5—na jeńców polskich.

J.B.F.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £20 ze świetlicy Lotniczej w N. przeznaczone na pomoc jeńcom polskim.

Świetliczarka

KUPON
upoważniający do udziału w konkursie świątecznym "Polski Walczącej" /strona 11 bieżącego numeru/

SPIS RZECZY:

Stanisław Szurlej: Gwiazda naszego zbawienia.—*Olga Lisiewicz:* Wigilia 1940 w Rosji.—*Andrzej Bogusławski:* Wigilia na internowaniu. —*Archibald Wavell:* Geniusz wojskowy: II. Strategia i taktyka w ciągu wieków /przekład *Dominika Szczerbica*/.—*Alan Graham:* O stosunkach polsko-angielskich /artykuł specjalnie napisany dla "Polski Walczącej"/. — *Wojciech Halicz:* Inwazja na Alger.—*Arnold Jaskowski:* Palestyna 1942. /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/.—*Bogumił Andrzejewski:* Dziwy niebieskie w Tobruku.—*Maria Pawlikowska:* Wiersze wigilijne.—*Herminia Naglerowa:* Tu jest Polska /Akt I./.—*Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny.—Z tygodnia na tydzień.—*Julian Ginsbert:* Wojna na morzu.—Działalność lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii.—Konkurs świąteczny "Polski Walczącej."—*Wiktor Budzyński:* Druga Szopka bezblackoutowa /rysunki *Antoniego Wasilewskiego*/.—Zestawienie treści za rok 1942.—Pomoc dla Polaków w Rosji.—Rysunek *Elżbiety Horodyńskiej.* — Linoryt *Adama Kossowskiego.* — Ozdobniki *Stefana Osieckiego.*—Fotografie.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY M.S.WOJSK.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.